

MAGAZYN *razem z dodatkami*

- Rok 2025 nie był zły. I byłe 2026 nie był gorszy ● Kalendarz filmowy na rok 2026
- Tragedie w pracy. Szefowie oskarżeni ● Nie ma jak u... sióstr. Elżbietanki dają namiastkę domu

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV



GŁOS DZIENNIK POMORZA POMORZA

Piątek
9.01.2026

Nr 6 (5764)
Nakład: 9.640 egz.

www.gp24.pl
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Pracuje w szkole, a w czasie wolnym pisze poezję i prozę



FOT. ŁUKASZ CAPAR

Agata Bartoszek-Gaj. Po drugiej stronie książki, czyli co autorka miała, a czego nie miała na myśli **TYGODNIK REGIONÓW – STR. 11-12**

Praca.

Aż 71 procent Polaków popiera ujawnienie wynagrodzeń **str. 5**

Historia.

Sowieccy oficerowie oddelegowani do pracy w aparacie represji w Polsce **str. 6**

Pomorze. W stacji Pogotowia Ratunkowego stoi kilka ambulansów. Dwa na włączonych silnikach. Jeden zespół właśnie przyjechał **TYGODNIK REGIONÓW – STR. 12-13**

Kraj.

Dziś spotkanie prezydenta z premierem. Będzie przełom? **str. 6**

Rozmowa z prof. Błażem Brzostkiem, autorem książki „Życie codzienne kobiet w PRL” **str. 2**

Słupsk. Policja apeluje do dzieci i ich rodziców **str. 4**

Słupsk. Noclegownie dla bezdomnych działają i przyjmują potrzebujących **str. 3**

Nr ISSN 0137-9526

Nr indeksu 348-570



Idą po plaży
i promują honorowe krwiodawstwo **str. 4**



FOT. ULTRAKREW

Region. 20 ciągników, liczna obsada. Z rozmachem, choć bez grosza. Tak powstał film w Głównych

TYGODNIK REGIONÓW – STR. 14

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Paulina Chylewska - prezen- zencja, wiedza, błyskotliwość	PONIEDZIAŁEK ● Sportowy24: Grali na bo- iskach, grali na parkietach	WTOREK ● Strefa Biznesu: W gąsz- czu ekonomii nie zginiesz	ŚRODA ● Strona Zdrowia: Korzyści diety wegetariańskiej	CZWARTEK ● Pod Paragrafem: Czas brutali w kaszkietach	PIĄTEK ● Puls i Tygodnik Regionów. Teksty ze znakiem jakości
---	--	---	---	--	---

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 94 340 11 14, mail prenumerata.gdp@polskapress.pl, na stronie prenumerata.gp24.pl

W PRL sferą wolności dla kobiet była praca, czasami „na dwa etaty”

Anna Kruszyńska
Rozmowa

z prof. Błażem Brzostkiem, historykiem i autorem książki „Życie codzienne kobiet w PRL”

Jaki obraz PRL wyłania się z pańskiej książki?

PRL był dyktaturą, która ograniczała możliwość wyrażania społecznych interesów. Jestem sceptyczny wobec narracji przedstawiających PRL jako system, który miał charakter emancypacyjny, wspierający chociażby zmianę ról społecznych kobiet w stronę większej wolności. Każdy system, który blokuje wyrażanie ludzkich opinii i emocji, ma charakter nieemancypacyjny. W PRL nie było rzeczywistej emancypacji kobiet, choć zachodziły procesy, które zwiększały ich niezależność - migracje ze wsi do miast, wzrost samodzielności materialnej, nowe prawo małżeńskie, które dawało większe samostanowienie. Od 1956 r. obowiązywało też liberalne prawo dotyczące aborcji, które z kolei oferowało też dużo większą niż dzisiaj swobodę wyboru.

Kiedy zatem można mówić o realnej emancypacji?

Wtedy, gdy jest możliwe publiczne formułowanie postulatów i protestów. W PRL było to bardzo trudne. Problemy kobiet wynikały przede wszystkim z nierównej pozycji na rynku pracy - niższych płac, utrudnionego dostępu do atrakcyjnych zawodów i stanowisk. Dochodziła do tego nierówna dystrybucja czasu i faktyczny brak praw politycznych. Tych kwestii nie można było publicznie artykułować tak, jak na to zasługiwały. Przestrzeń do wyrażenia własnych potrzeb pojawiła się dopiero w okresie „Solidarności”.

Wspomniał pan o „Solidarności”. Wcześniej zdarzały się też momenty, kiedy kobiety podnosiły głowę i próbowały działać wbrew systemowi? Tak, na różne sposoby. Kobiety były widoczne w prote-



FOT. ADRIAN GRZYCUK

Błażej Brzostek: - : Dzisiaj Kościół postrzegany jest jako instytucja opresyjna wobec kobiet, ale nie zawsze tak było.

stach już w latach stalinizmu, zwłaszcza w zakładach pracy - często wręcz animowały sprzeciw. Podobnie podczas protestów chłopskich przeciwko kolektywizacji. Grupy kobiet blokowały wiejskie drogi i próbowały powstrzymać agitatorów domagających się wstępowania do spółdzielni produkcyjnych.

Skąd brała się ich odwaga?

Kobiety działały w poczuciu względnego bezpieczeństwa. Aresztowanie mężczyzny było dla władz łatwiejsze niż zatrzymanie kobiety opiekującej się małymi dziećmi - i politycznie, i wizerunkowo. Represje wobec kobiet były więc słabsze, co zwiększało gotowość do działań, na które mężczyźni często się nie decydowali. Kobiety pozwalały sobie na silniejszą publiczną ekspresję: krzyczały na zebraniach, otwarcie protestowały. Źródłem buntu była lepsza znajomość bolączek codziennego życia. To kobiety odpowiadały w największym stopniu za zaopatrzenie domu, więc w praktyce to one mierzyły się z permanentnymi brakami - a te były stałym elementem PRL, od początku do końca. To doświadczenie napędzało frustrację i sprzyjało krytyce zarówno sytuacji domowej, jak i samego systemu.

Czy dzisiaj jesteśmy świadkami roli kobiet w przemianach, jakie nastąpiły w czasie

„Solidarności” i które finalnie doprowadziły do transformacji ustrojowej w Polsce?

PRL była tworem politycznie patriarchalnym - zarówno w obozie władzy, jak i „Solidarności”. Widać to najlepiej przy Okrągłym Stole: rozmowy prowadzili niemal wyłącznie mężczyźni. Obecnie były zaledwie dwie kobiety, a w części komisji - tzw. podstolików - nie było ich w ogóle. Dotyczy to także podstolika zajmującego się ruchem związkowym, a więc legalizacją i przyszłością „Solidarności” i innych związków. To mówi wszystko o realnym udziale kobiet w formalnych strukturach negocjacyjnych tamtego czasu. Ten problem trwa zresztą do dziś. Różnica polega na tym, że dziś żyjemy w kraju, w którym możemy o tym mówić i możemy organizować różne ruchy. Przykład Strajku Kobiet pokazuje skalę mobilizacji: masowy protest, który - mimo że nie przyniósł jeszcze zmian w prawie - był politycznie i społecznie donośny. W realiach PRL coś takiego byłoby nie do pomyślenia.

A jaki był światopogląd przeciętnej Polki?

Przede wszystkim ukształtowany przez katolicyzm, co widać w badaniach i źródłach dotyczących życia publicznego w PRL. Niewątpliwie kobiety były bardziej wierzące niż mężczyźni, a także bardziej zaangażowane w utrwalanie rytuałów i tradycji w domu. Kobiety ponadto były bardziej skłonne do uczestnictwa w publicznych rytuałach religijnych. To one zwykle inicjowały lokalne wydarzenia o charakterze mirakularnym. Mam tu na myśli cuda, czyli np. przemianę obrazu (choćby pojawiające się łyż na wizerunku Matki Bożej), pojawienie się nieoczywistego światła albo ukazanie się sylwetki Matki Bożej lub Jezusa w jakimś miejscu. Takich zjawisk w PRL było bardzo wiele. Papież Jan Paweł II dodatkowo wzmacniał potrzebę posiadania autorytetu duchowego niezależnego od polityki partii.

Trzeba pamiętać, że społeczeństwo PRL pozostawało w dużej mierze tradycyjne. W takim środowisku pozycja kobiet była ambiwalentna. Dzisiaj Kościół postrzegany jest jako instytucja opresyjna wobec kobiet, ale nie zawsze tak było. W PRL oferował on wielu kobietom poczucie bezpieczeństwa, wsparcia duchowego.

Czy w PRL kobiety miały szansę wyjść poza kuchnię, Kościół i dzieci?

Tak, a tym sposobem wyjścia była praca. Dla wielu kobiet była ona pierwszym doświadczeniem samodzielności. W latach 50. większość kobiet pochodziła ze środowisk społecznych, w których kobiety pracowały w domu. Praca zawodowa radykalnie zmieniła ich życie i stworzyła przestrzeń wolności. Dzięki własnym pieniądзом mogły się wyrwać się spod kontroli tradycyjnego społeczeństwa i konstelacji lokalnych męskich autorytetów. Po prostu pojawiła się większa przestrzeń wolności w ich życiu, którą przyniosła ze sobą praca.

Pracę jednak trudno jest pogodzić z obowiązkami domowymi...

Praca zaczyna być problemem, kiedy pojawia się rodzina. Kiedy żona nie może liczyć na to, że mąż pomoże jej w realizacji domowych obowiązków, musi pracować na dwa etaty - jeden właściwy, w pracy, a drugi w domu. Dla kobiet łączenie pracy zawodowej z obowiązkami domowymi oznaczało chroniczne przemęczenie, izolację i osamotnienie. Formą ucieczki przed tym stawała się codzienna, nieformalna solidarność - sąsiadek, znajomych, przyjaciółek, które pomagały sobie w opiece nad dziećmi czy przy zakupach. Ta solidarność dotyczyła sfery prywatnej, bo kobiety były nadal zamknięte w przestrzeni, z której bardzo trudno było się wydostać.

KALENDARIUM

9 STYCZNIA POLSKA

1919 Powstańcy wielkopolscy dokonali nalotu bombowego na lotnisko we Frankfurcie.

1943 Reichsführer-SS Heinrich Himmler dokonał inspekcji terenu warszawskiego getta, której efektem tzw. akcja styczniowa w dniach 18-22 stycznia, podczas której wywieziono do Treblinki ok. 6 tysięcy Żydów.

1944 Powstała Rada Jedności Narodowej.

1966 Władze PRL odmówiły wydania paszportu prymasowi kardynałowi Stefanowi Wyszyńskiemu na wyjazd do Watykanu na obchody milenium chrztu Polski.

1986 W Gdańsku aresztowano działającego od 4 lat w ukryciu Bogdana Borusewicza.

ŚWIAT

1768

W Londynie odbyło się pierwsze nowożytne przedstawienie cyrkowe.

1797

Powstały Legiony Polskie we Włoszech.

1816

W kopalni w angielskim Hebburn przeprowadzono pierwsze testy bezpiecznej lampy górniczej (lampy Davy'ego).

1929

W Londynie po raz pierwszy zastosowano leczenie surową penicyliną.

1937

Wszedł do kin film animowany Don Donald z Kaczorem Donaldem występującym po raz pierwszy w głównej roli i ze zmienionym wizerunkiem.

2007

W San Francisco zaprezentowano iPhone'a.

ZDJĘCIE TYGODNIA



FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Gdy tylko spadnie śnieg, to na pętli Głębokie w Szczecinie pojawiają się bajkowe rzeźby z białego puchu.

To prace pana Henryka Kalinowskiego, który od kilku lat lepi wyjątkowe figury. Szczecinianie są pod wrażeniem zimowej galerii i talentu autora. Przyjeżdżają z całego miasta, by podziwiać śnieżny zwierzynek.

Noclegownie dla bezdomnych działają i przyjmują potrzebujących

Patryk Czerwiński
Słupsk

Ostry atak zimy ponownie zwrócił uwagę na zagrożenie takimi warunkami dla osób bezdomnych. W Słupsku działa kilka placówek, które zajmują się pomocą osobom znajdującym się w kryzysie bezdomności.

Towarzystwo Pomocy im. św. Brata Alberta Koło Słupskie prowadzi przy ul. Krzywoustego 6 trzy placówki dla mężczyzn w kryzysie bezdomności: noclegownię, schronisko dla mężczyzn oraz schronisko z usługami opiekuńczymi. Zasady przyjęcia i możliwości noclegowe różnią się w zależności od typu placówki.

Noclegownia działa bez konieczności posiadania skierowania. Mogą z niej korzystać dorośli mężczyźni pozbawieni dachu nad głową pod warunkiem zachowania trzeźwości. Osoby pod wpływem alko-



FOT. WOJCIECH LESNER

Schronisko Towarzystwa Pomocy im. św. Alberta w Słupsku

holu lub innych substancji mogą zostać tymczasowo nieprzyjęte. Pobyt jest bezpłatny i trwa od godziny 18 do 8 rano.

Placówka oferuje miejsce do spania w sali wieloosobowej, podstawowy posiłek, dostęp do środków higienicznych, możliwość kąpieli oraz

odzież. Mieszkańcy zobowiązani są do przestrzegania regulaminu, który zabrania wnoszenia alkoholu, stosowania substancji psychoaktywnych oraz zachowań agresywnych.

Noclegownia dysponuje 16 miejscami z możliwością

zwiększenia tej liczby o dwa dodatkowe w sytuacji wzmożonego zapotrzebowania. W pierwszych sześciu dniach stycznia 2026 roku z noclegowni korzystało od 11 do 14 osób na dobę. W 2025 roku średnie miesięczne obłożenie placówki wynosiło 12 osób.

Schronisko dla mężczyzn oraz schronisko z usługami opiekuńczymi funkcjonują w oparciu o przepisy ustawy o pomocy społecznej. Aby zostać przyjętym, osoba bezdomna musi uzyskać decyzję administracyjną wydaną przez gminę swojego ostatniego stałego zameldowania. Decyzja ta jest poprzedzona wywiadem środowiskowym przeprowadzonym przez pracownika socjalnego.

Warunkiem pobytu w schronisku jest trzeźwość, zdolność do samoobsługi oraz niesprowadzanie zagrożenia dla innych mieszkańców. Placówki zapewniają całonocne schronienie, posiłki, dostęp do sanitariatów, odzież oraz wsparcie pracownika socjalnego.

Od początku stycznia 2026 roku w schronisku dla mężczyzn przebywa 23 mieszkańców, a w schronisku z usługami opiekuńczymi, 22 mieszkańców. W 2025 roku średnie miesięczne obłożenie tych placó-

wek wynosiło odpowiednio 29 i 21 osób.

Według informacji Towarzystwa, we wszystkich prowadzonych placówkach dysponuje ono obecnie wolnymi miejscami. Organizacja podkreśla, że jej działalność ma na celu nie tylko zapewnienie dachu nad głową, ale także udzielenie wsparcia w wychodzeniu z kryzysu bezdomności.

Z kolei Stowarzyszenie ANDRAS prowadzi w Słupsku ogrzewalnię przy ulicy Gdyńskiej 13A. Placówka jest czynna dla kobiet i mężczyzn od 1 października 2025 roku do 30 kwietnia 2026 roku.

Ogrzewalnia funkcjonuje w godzinach od 16-8. W okresie szczególnie niskich temperatur, gdy w ciągu dnia (między godziną 8, a 19) lub w sytuacjach kryzysowych, placówka jest otwarta całonocowo.

Miejsce przeznaczone jest dla osób dorosłych, kobiet i mężczyzn, potrzebujących do-
różnego schronienia. ©

REKLAMA

0011456141

**ODBIERZ
100zł**

za każde wydane 1000zł

Zwrot na kartę podarunkową Fimal



**Promocja dotyczy zamówień w okresie
od 10.01.2026 do 10.02.2026**

Regulamin akcji dostępny na fimal.pl

FIMAL

Idą po plaży i promują ideę honorowego oddawania krwi

Wojciech Frelichowski
Region

Do Ustki dotarli uczestnicy akcji „Ultrakrew”. Wolontariusze przemierzają polskie wybrzeże Bałtyku w celu promowania idei honorowego oddawania krwi. W Ustce przekonali do tego kilkanaście osób.

To już dziesiąta edycja „Ultrakrew”, z czego osiem zorganizowano zimą. W takich warunkach uczestnicy pokonują całą polską linię brzegową Bałtyku (550 km) po plaży, bez względu na pogodę. Organizacją wydarzenia zajmuje się Stowarzyszenie „Ultrakrew”, którego celem jest promocja krwiodawstwa i aktywności fizycznej. Sport jest dla nich narzędziem w realizacji tego celu. Edycjom ogólnopolskim nie towarzyszą żadne zbiórki finansowe, a udział w wydarzeniu jest bezpłatny.

Akcja zaczęła się spontanicznie kilka lat temu, kiedy na-

gle zachorowała jedna z bliskich osób późniejszego inicjatora „Ultrakrew”. Trafiła do szpitala a jej stan w ciągu kilku godzin okazał się krytyczny. Toczyła walkę o życie zapadła w śpiączkę. Lekarze zdiagnozowali u niej niezwykle rzadką chorobę, w wyniku której płytki krwi ulegają rozpadowi, tworząc skrzepy. Leczenie i próba wyprowadzenia jej ze śpiączki polegały między innymi na podawaniu dużej ilości osocza z krwi. 90 procent przypadków osób, które zapadają na tę chorobę kończy się śmiertelnie.

Historia zakończyła się pozytywnie. Ta osoba wyszła ze śpiączki i wróciła do pełnej sprawności. Ale by przeżyć

W trakcie wszystkich akcji Ultrakrew zebrano 18 204 litry krwi, co pozwoliło na potencjalne uratowanie 12 000 osób



Uczestnicy akcji „Ultrakrew” w Ustce

i wyzdrowieć potrzebowała 171 opakowań osocza. A to oznacza, że 171 osób musiało oddać krew. Osocze jest podawane z użyciem specjalistycznego sprzętu, gdzie jednorazowa aplikacja trwa kilka godzin. Takich podań robi się n-

liczba. A to oznacza ogromny wysiłek.

W tym roku start akcji „Ultrakrew” nastąpił 5 stycznia na plaży w Świnoujściu. Na trasę wyruszyło dziesięciu ultramaratończyków. Dziennie przemierzali nie ma 100 kilo-

metrów, plażą. W środę, 7 stycznia doszli do Centralnego poligonu Sił Powietrznych w Ustce i do samej Ustki.

Na miejscu do oddania krwi udało im się przekonać 19 osób. Na dawców czekał krwiobus z Regionalnego Centrum

Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa im. Jana Pawła II w Słupsku. W akcję włączył się również Hotel Jantar Wellness & Spa w Ustce, który dla wolontariuszy i krwiodawców przygotował słodki poczęstunek.

Po jednodniowym pobycie w Ustce uczestnicy „Ultrakrew” poszli dalej w kierunku Łeby, w której dotarli w czwartek, 8 stycznia. Dalej pójdą do Władysławowa (9 stycznia) oraz Gdyni i Gdańska (10 stycznia). Swoją trasę zakończą w 11 stycznia w Piaskach na Mierzei Wiślanej. W sumie przejdą 550 kilometrów.

W trakcie wszystkich akcji Ultrakrew zebrano 18 204 litry krwi, co pozwoliło na potencjalne uratowanie 12 000 osób.

Akcja „Ultrakrew” zbiega się apelem Regionalnego Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa w Słupsku, w którym stan zabezpieczenia krwi grup O, A, B jest bardzo niski.

RCKiK w Słupsku informuje, że w 2025 roku pobrało aż 20 528 donacji krwi. ©©

W mrozy trzasnęły dwie rury wodociągowe w Sławnie. Część miasta była bez wody

Tomasz Turczyn
Region

Wczoraj minus 9 stopni Celsjusza w nocy przełożyło się na pęknięcie dwóch rur wodociągowych w Sławnie. Jedna pękła na ulicy Witosza, a druga na ul. I-ego Pułku Ułanów. Skutek awarii to spadki ciśnienia wody w mieście oraz brak wody na Osiedlu Północ.

Zima daje o sobie znać nie tylko śniegiem i mrozem, ale także problemami, które te zjawiska wywołują, m.in. awariami w systemie podziemnych wodociągów.

Prezes spółki Wodociąg i Kanalizacja w Sławnie Wojciech Ludwikowski informował „Głos”, że nad usunięciem awarii pracowali równolegle dwie ekipy WiK. Rury nie wytrzymały w niedalekiej odległości około 200 metrów. Awaria na ul. I-ego Pułku Ułanów wywołuje się poważniejsza, bo dotknęła wodną magistralę.

Magistrala to szeroka rura lub przewód transportujący wodę na duże odległości. Może to być na przykład do ujęcia sieci rozdzielczej w wodociągach.

Prezes WiK dodaje, że trudno



Usuwanie awarii pękniętego rurociągu w Sławnie

podać konkretną godzinę usunięcia awarii. Akcentuje, że pracownicy WiK robią wszystko, aby naprawy zakończyły się, jak najszybciej.

Policja apeluje

Jak co roku, w chwili, gdy temperatury na zewnątrz spadają do zera lub poniżej, policjanci zwracają się do wszystkich z apelem o to, aby nie byli obojętni na czyjaś krzywdę. Na wychłodzenie organizmu są szczególnie narażeni bezdomni, osoby starsze i osoby nietrzeźwe przebywające na dworze. Jeśli widzimy takiego człowieka, nie

wahajmy się zadzwonić na numer alarmowy, aby powiadomić o tym funkcjonariuszy. Każde takie zgłoszenie jest natychmiast sprawdzane.

- Wystarczy jeden telefon pod numer alarmowy 112 lub zgłoszenie na Krajowej Mapie Zagrożeń Bezpieczeństwa. Zli-

Nad usunięciem awarii pracowały równolegle dwie ekipy WiK. Skutek awarii to brak wody na Osiedlu Północ w Sławnie

sty dostępnych oznaczeń na KMZB należy wybrać „Osoba bezdomna wymagająca pomocy”, a następnie nanieść znacznik na konkretne miejsce na mapie - mówi asp. sztab. Kinga Warczak, rzecznik prasowy powiatowego komendanta policji w Sławnie. - Nasze zainteresowanie, być może przyczyni się do tego, że uratujemy komuś życie. Sami również starajmy się okazać życzliwość i wyciągnąć pomocną dłoń w kierunku tych, którzy tej pomocy potrzebują. Nie przechodźmy obok takich osób obojętnie. ©©



Policja apeluje do dzieci i ich rodziców

Patryk Czerwiński
Słupsk

Komenda Miejska Policji w Słupsku opublikowała zbiór zasad bezpiecznego spędzania czasu podczas zimowych zabaw. Apel jest reakcją na sytuację, w której 10-letni chłopiec zderzył się z samochodem na Placu Krofeya w Bytowie. Do zdarzenia doszło, gdy dziecko zjeżdżało na jabłuszku.

Po potrąceniu dziecka, we wtorek 6 stycznia, przez samochód osobowy przy placu Krofeya w Bytowie, służby wydały apel. Policja przypomina, by zabawy na śniegu organizować wyłącznie w bezpiecznych miejscach, z dala od jezdni, torów kolejowych, zbiorników wodnych oraz stromych skarp.

Funkcjonariusze podkreślają, że nawet chwilowa utrata

kontroli podczas zjeżdżania na sankach w pobliżu dróg może skończyć się tragicznie.

- Opady śniegu i niskie temperatury sprzyjają aktywności na świeżym powietrzu, jednak brak ostrożności może prowadzić do groźnych sytuacji - apeluje Komenda Miejska Policji w Słupsku

Apel zawiera również ostrzeżenie przed wchodzeniem na zamrożone jeziora, rzeki i stawy, ponieważ lód może być zbyt cienki. Policja zaleca odpowiedni, ciepły i nieprzemakalny strój z elementami odbłaskowymi.

W przypadku korzystania ze stoków narciarskich, policja apeluje o ostrożność, stosowanie kasków ochronnych i przestrzeganie regulaminów. W razie zagrożenia zdrowia lub życia należy natychmiast dzwonić pod numer alarmowy 112. ©©

Chcemy wiedzieć, ile zarabiają nasi koledzy

Patrycja Zemla

patrycja.zemla@polskapress.pl

Aż 71 proc. Polaków popiera ujawnienie wynagrodzeń, a 9 na 10 oczekuje podania widełek płacowych już na etapie rekrutacji - wynika z raportu Manpower „Nastroje polskiego rynku pracy - perspektywa kandydatów 2025”.

Największe poparcie dla takiego rozwiązania deklarują młodszy, lepiej zarabiający pracownicy oraz osoby zatrudnione w dużych firmach. Niechętni do ujawnienia swoich widełek płacowych są zatrudnieni powyżej 60. roku życia oraz przedstawiciele wyższej kadry zarządzającej.

Poparcie dla jawnych płac częściej deklarują mężczyźni (72 proc.) niż kobiety (70 proc.). W grupie wiekowej 18-29 lat aż 80 proc. respondentów oczekuje jawności wynagrodzeń, podczas gdy wśród osób powyżej 60. roku życia odsetek ten spada do 20 proc. Różnicowanie widać także w zależności od dochodu - 77 proc. osób zarabiających powyżej 7.000 zł netto popiera jawność, w porównaniu do 31 proc. wśród pracowników z wynagrodzeniem do 3.000 zł. Biorąc pod uwagę zajmowane stanowiska, największe poparcie odnotowano wśród asystentów (75 proc.), a najmniejsze w gronie wyższej kadry zarządzającej (32 proc.). W dużych organizacjach, zatrudniających ponad 5.000 osób, za przejrzystością opowiada się 76 proc. badanych, natomiast w małych firmach do 49 pracowników jedynie 15 proc.

Poparcie dla jawności wynagrodzeń wśród pracowników choć duże, jest mocno zróżnicowane. W największym stopniu wykazuje je młode pokolenie, dla którego transparentność stanowi element równości i sprawiedliwości w miejscu pracy. Dla przedstawicieli pokolenia Z, jawność wynagrodzeń to nie tylko dowód uczciwości i wiarygodności pracodawcy, to także narzędzie do walki z nierównościami płacowymi, szczególnie na tle płci, wieku czy pochodzenia. Nieco sceptyczniej do tego rozwiązania podchodzą osoby powyżej 60. roku życia, dla których finanse nadal pozostają tematem tabu. Większe poparcie dla jawności wynagrodzeń wykazują też osoby lepiej zarabiające, które nie obawiają się negatywnego porównania z innymi - mówi Anna Tietianiec, lider specjalizacji w Manpower

Ekspertka zauważa, że z mniejszym entuzjazmem



FOT. 123RF

do jawności wynagrodzenia podchodzi wyższa kadra zarządzająca, co może wynikać z odmiennej perspektywy, jaką przyjmuje osoba łącząca rolę pracownika i pracodawcy. Menedżerowie często patrzą na transparentność wynagrodzeń nie tylko z punktu widzenia własnych zarobków, ale też z perspektywy zarządzania zespołem i polityką płacową w organizacji. Mogą postrzegać jawność płac jako potencjalne ograniczenie elastyczności w zarządzaniu wynagrodzeniami. Dodatkowo, jeśli w firmie występują znaczące dysproporcje w wynagrodzeniach, kierownictwo może obawiać się, że ujawnienie tych różnic doprowadzi do konfliktów i napięć w zespołach - dodaje Anna Tietianiec.

Widełki płacowe już w ogłoszeniu

Aż 92 proc. respondentów badania Manpower chce, aby widełki wynagrodzenia były podawane już na etapie rekrutacji. Tylko 2 proc. uczestników uważa, że nie jest to potrzebne. Największy odsetek zwolenników tego rozwiązania odnotowano wśród specjalistów (94 proc.), a najmniejszy wśród przedstawicieli wyższej kadry menedżerskiej (6 proc.). Poparcie dla tego postulatu częściej deklarują kobiety (94 proc.) niż mężczyźni (90 proc.). W ujęciu wiekowym największe zainteresowanie obserwuje się w grupie 40-49 lat (95 proc.), natomiast najmniejsze wśród osób powyżej 60. roku życia (4 proc.).

Zdaniem ekspertki, kandydaci coraz częściej traktują jawność płac jako element uczciwej komunikacji między pracodawcą a pracownikiem. Podanie widełek już w ogłoszeniu rekrutacyjnym pozwala im realistycznie ocenić, czy oferta

odpowiada ich oczekiwaniom i kwalifikacjom, a tym samym oszczędza czas obu stron. W warunkach rosnących kosztów życia wynagrodzenie stało się jednym z kluczowych kryteriów wyboru pracy. Kandydaci nie chcą tracić czasu na rozmowy rekrutacyjne, które mogą zakończyć się propozycją znacznie poniżej ich oczekiwań finansowych. Jawnych widełek wynagrodzeń już na etapie rekrutacji domagają się głównie specjaliści i osoby w wieku 40-49 lat. Są to osoby z większym doświadczeniem zawodowym, znające realia rynku i branży, w której pracują. Klarowne informacje dotyczące proponowanego wynagrodzenia pozwalają im porównać oferty i ocenić, czy wynagrodzenie jest adekwatne do oczekiwanych kompetencji i zakresu obowiązków. Niskie poparcie dla jawnych widełek płacowych wśród wyższej kadry menedżerskiej wynika przede wszystkim z charakteru ich roli w organizacji oraz specyfiki systemów wynagrodzeń na tym poziomie - podkreśla Anna Tietianiec.

Jawne płace na tych samych stanowiskach

Blisko trzy czwarte badanych (73 proc.) uważa, że wynagrodzenia osób zajmujących to samo stanowisko w organizacji powinny być jawne. Przeciwego zdania jest jedynie 12 proc. ankietowanych. Największe poparcie dla tej idei wyraża średnia kadra menedżerska (76 proc.), podczas gdy wśród wyższego szczebla zarządzania poparcie wynosi 19 proc. W firmach zatrudniających od 1.000 do 4.999 osób poziom akceptacji dla jawnych płac jest najwyższy, sięgając 78 proc., natomiast w przedsiębiorstwach średnich i dużych - tylko 13 proc. Różnice między płacami są niewielkie,

rozwiązanie to popiera 74 proc. kobiet i 72 proc. mężczyzn.

Transparentność wynagrodzeń staje się nowym standardem, do którego rynek pracy będzie musiał stopniowo się dostosować. Co ciekawe, największymi zwolennikami tego rozwiązania jest średnia kadra menedżerska, a zatem grupa, która często odczuwa zarówno presję ze strony zarządu, jak i oczekiwania ze

strony pracowników. Niskie poparcie dla jawności płac wśród wyższej kadry menedżerskiej, wynika z kilku czynników związanych zarówno z charakterem ich pracy, jak i z rolą, jaką pełnią w organizacji. Menedżerowie patrzą na transparentność płac z dwóch perspektyw, jako pracownicy i jako osoby odpowiedzialne za kształtowanie polityki wynagrodzeń. Z tego powodu często obawiają

się, że ujawnienie różnic w zarobkach na podobnych stanowiskach może prowadzić do poczucia niesprawiedliwości. Dodatkowo system wynagrodzeń na poziomie zarządczym jest znacznie bardziej złożony, oprócz pensji podstawowej obejmuje premie, bonusy, udziały i dodatkowe świadczenia, które trudno jednoznacznie porównać - podsumowuje ekspertka Manpower.

REKLAMA

0011459205

Zawiadomienie

STAROSTY BYTOWSKIEGO

o wydaniu decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej

Na podstawie art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. - Kodeks postępowania administracyjnego (tekst jednolity: Dz. U. z 2025 r., poz. 1691) oraz art. 11 f ust. 3 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (tekst jednolity: Dz.U. z 2024 r., poz. 311), zawiadamiam strony o wydaniu w dniu 7 stycznia 2026 r., na wniosek pana Janusza Szczepańskiego działającego w imieniu i z upoważnienia Burmistrza Bytowa, decyzji nr 1/2026 o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej pn.: „**Rozbudowa drogi gminnej ul. Kazimierza Wielkiego w m. Rzepnica**”, przewidzianej (zgodnie z wnioskiem) do realizacji na terenie niżej wymienionych działek, bądź ich częściach (w nawiasach podano numery działek przed podziałem): -) 2/3 (2/1), 1/39 (1/22), 1/41 (1/24), 4/75 (4/62), 4/76 (4/62), 4/73 (4/61), 4/71 (4/60), 4/69 (4/59), 4/67 (4/58), 4/65 (4/43), 4/63 (4/42), 5/5 (5/2), 38/26 (38/4), 7/2, 2/2, 8/3, 127/3, 8/2, 1/23, 4/38, 4/48, 8/1, 4/41, 4/3, w obrębie Rzepnica, jednostka ewidencyjna Bytów 220102_5.0011. Ze względu na lokalizację projektowanych zjazdów oraz lamp oświetlenia ulicznego, w obszarze oddziaływania projektowanej inwestycji, znajdują się dodatkowo nieruchomości (w nawiasach podano numery działek przed podziałem): -) 38/23, 2/4 (2/1), 1/2, 1/37, 38/22, 317, 38/11, 1/21, 37/2, 1/40 (1/22), 37/1, 37/3, 37/6, 37/5, 1/42 (1/24), 35/1, 34/1, 31, 30, 4/77 (4/62), 4/46, 27, 28/4, 28/3, 4/74 (4/61), 4/72 (4/60), 4/70 (4/59), 25, 13/9, 13/7, 13/11, 13/19, 13/15, 5/6 (5/2), 13/4, 13/3, 13/17, 13/18, w obrębie Rzepnica, jednostka ewidencyjna Bytów 220102_5.0011.

Decyzja zawiera w szczególności:

- ✓ linie rozgraniczające teren inwestycji;
- ✓ zatwierdzenie podziału nieruchomości oznaczonych nr ewid. gruntów: 2/1, 1/22, 1/24, 4/62, 4/61, 4/60, 4/59, 4/58, 4/43, 4/42, 5/2, 38/4, w obrębie Rzepnica, jednostka ewidencyjna Bytów 220102_5.0011;
- ✓ oznaczenie nieruchomości, które stają się własnością Gminy Bytów, są to działki (po podziale) nr: 2/3, 1/39, 1/41, 4/75, 4/76, 4/73, 4/71, 4/69, 4/67, 4/65, 4/63, 5/5, 38/26, w obrębie Rzepnica, jednostka ewidencyjna Bytów 220102_5.0011;
- ✓ zatwierdzenie projektu zagospodarowania terenu i projektu architektoniczno-budowlanego;
- ✓ rygor natychmiastowej wykonalności.

W ramach wnioskowanej inwestycji projektuje się:

- ✓ infrastrukturę techniczną obejmującą budowę: kanału technologicznego, sieci kanalizacji sanitarnej, sieć kanalizacji deszczowej, oświetlenia ulicznego, urządzeń wodnych, zjazdów zwykłych;
- ✓ przebudowę kolizji z istniejącym uzbrojeniem;
- ✓ powiązanie drogi gminnej z innymi drogami publicznymi.

Zawiadamiam, że zgodnie z art. 11f ust. 4 ustawy o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych, strony mogą zapoznać się z treścią decyzji w Starostwie Powiatowym w Bytowie w Wydziale Architektoniczno-Budowlanym mieszczącym się w budynku przy ul. ks. dr. Bolesława Domańskiego 2 (parter, pokój nr 112), w godzinach pracy urzędu (pon.-wt., czw.-pt. 7.30-15.30), w terminie 14 dni od dnia otrzymania zawiadomienia.

Zgodnie z art. 11 d ust. 9 ustawy o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych, nieruchomości stanowiące własność Skarbu Państwa bądź jednostek samorządu terytorialnego, objęte wnioskiem o wydanie decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej, z dniem niniejszego zawiadomienia nie mogą być przedmiotem obrotu w rozumieniu przepisów o gospodarce nieruchomościami. Czynność prawna dokonana z naruszeniem tego zakazu jest nieważna.

Pouczenie

Strony mogą zapoznać się z treścią decyzji w Starostwie Powiatowym w Bytowie w Wydziale Architektoniczno-Budowlanym mieszczącym się w budynku przy ul. ks. dr. Bolesława Domańskiego 2 (parter, pokój nr 112), w godzinach pracy urzędu (pon.-wt., czw.-pt. 7.30-15.30), w terminie 14 dni od dnia otrzymania zawiadomienia. Zawiadomienie uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od dnia publicznego ogłoszenia. Od decyzji przysługuje odwołanie do Wojewody Pomorskiego za moim pośrednictwem w terminie 14 dni od dnia dokonania zawiadomienia. Odwołanie strony od decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej zawiera zarzuty odnoszące się do tej decyzji, określa istotę i zakres żądania będącego przedmiotem odwołania oraz wskazuje dowody uzasadniające to żądanie (art. 11g ust. 1a ustawy o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych). Przed upływem terminu do wniesienia odwołania strona może zrzec się prawa do wniesienia odwołania wobec organu administracji publicznej, który wydał decyzję. Z dniem doręczenia organowi administracji publicznej oświadczenia o zrzeczeniu się prawa do wniesienia odwołania przez ostatnią ze stron postępowania, decyzja staje się ostateczna i prawomocna, co oznacza, iż decyzja podlega natychmiastowemu wykonaniu i brak jest możliwości zaskarżenia decyzji do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego. Nie jest możliwe skuteczne cofnięcie oświadczenia o zrzeczeniu się prawa do wniesienia odwołania. Nr rejestru organu wydającego decyzję: AB.6740.1.9.2025

Skierowani do Polski przez Moskwę

Filip Musiał
Historia

„Zostałem po raz drugi skierowany do Polski latem 1944 roku przez Komitet Centralny K[omunistycznej] P[artii] Z[wiązku] R[adzieckiego] i obecnie po powrocie do ZSRR będę musiał zdać sprawę przed swoją Partią – jak się wywiązałem z powierzonych mi zadań za granicą” – pisał w listopadzie 1955 r. Mikołaj Orechwa do Bolesława Bieruta prosząc o opinię o swej działalności w ciągu jedenastu lat w Polsce pojałtańskiej

Odkąd powstał ruch komunistyczny, liczne narody musiały się mierzyć z działającymi na ich terenie grupkami czy środowiskami działaczy lewicowych, którzy odzegnali się od narodowej tożsamości. Odrzucali tradycyjne związki z własną wspólnotą narodową, państwową czy religijną, uznając się za część międzynarodowego ruchu komunistycznego. W rzeczywistości od rewolucji bolszewickiej w Rosji europejskie środowiska komunistyczne były kontrolowane przez Kreml, a zrzeszeni w nich komuniści działali najczęściej w sowieckim interesie przeciwko własnym państwom i narodom. Tak było w Polsce, w czasie wojny z bolszewikami, gdy rodzimi komuniści nawoływali do dezercji z szeregów WP i oddania kraju w ręce Armii Czerwonej. Tak było i w kolejnych latach, gdy Komunistyczna Partia Polski działała w interesie Moskwy dążąc między innymi do oderwania Kresów i przyłączenia ich do sowieckich republik. Nie zmieniła tej postawy czystka w ruchu komunistycznym i likwidacja KPP przez Stalina w 1937 r. W czasie wojny komuniści wspierali politykę sowieckiego dyktatora, czego beneficjentami stali się po wojnie – obejmując z jego woli władzę w podbitym przez Armię Czerwoną kraju.

Delegaci

Komuniści zdominowali instytucje tworzonej przez Sowietów w Polsce powojennej władzy. W tym niezwykle ważne Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego.

Oddano je w ręce Stanisława Radkiewicza, Polaka pochodzącego z kresowego Polesia, który jeszcze jako nastolatek, na terenie Związku Sowieckiego, wstąpił do Komsomołu (młodzieżówki komunistycznej), a później Wszechrosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików). Jako członek WKP(b)

został wysłany do pracy politycznej w Polsce w latach XX-lecia międzywojennego. Wydaje się, że z tej właśnie perspektywy należy patrzeć na jego postać. Sowieci traktowali go jako swojego człowieka. Członka WKP(b) skierowanego do pracy w Polsce – i w międzywojniu, i potem po roku 1944.

Jeden z jego zastępców Mieczysław Mietkowski (właśc. Mojżesz Bobrowicki, Żyd z Białegostoku) także – od 1929 r. – był członkiem WKP(b). Sowieci delegowali go przed wojną między innymi do pracy partyjnej w Austrii. Podczas likwidacji KPP był poza wszelkimi podejrzeniami, miał nawet wchodzić do grona komunistów, którzy mieli odbudować partię, ale nie doszło do tego w związku z podpisaniem paktu Ribbentrop-Mołotow i wybuchem II wojny światowej.

Takich ludzi nie traktowano w ruchu komunistycznym jak działaczy z Polski, ale jak „swoich”, członków sowieckiej partii. A po wojnie powierzano im zadania na terenie pojałtańskiego państwa. Takich osób w MBP i w innych instytucjach „ludowej” Polski było rzecz jasna więcej.

Jednym z dobitnych przykładów takiej delegacji jest Mikołaj Orechwa. Białorusin z Wileńszczyzny, urodzony jeszcze pod zaborami w 1902 r. Jego rodzinna wieś w latach II Rzeczypospolitej leżała w woj. wileńskim. Jeszcze jako dziecko wyjechał z rodzicami do rosyjskiego Nowogrodu. Jako nastolatek wstąpił do Komsomołu, a później ochotniczo zgłosił się do Armii Czerwonej. „W roku [...] 1920 byłem na froncie przeciw biało-polakom – wspominał – i brałem udział w ofensywie na Warszawę”. Po demobilizacji jesienią t.r. wstąpił do WKP(b). Pracował później po linii partyjnej w Nowogrodzie i Mińsku. Jak pisał „Z końcem roku 1924, przez odnośne partyjne instytucje zostałem wytypowany i skierowany do pracy partyjnej w Polsce”. Działal w Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi w Wilnie, której jednym z celów była dezintegracja społeczeństwa na Kresach i dążenie do przyłączenia tych ziem do sowieckiej Białoruskiej Republiki Socjalistycznej. W latach 1926–1930 za nielegalną w II RP działalność komunistyczną był skazany i osadzony w więzieniu. Po wyjściu na wolność powrócił do ZSRS i został skierowany na kurs do Międzynarodowej Szkoły Leninowskiej. Na teren Polski kierowany był jeszcze dwukrotnie w latach 1934–1935 i w 1936 r. Potem komuniści delegowali go do pracy partyjnej



Ludwik Sielicki, jeden z sowieckich oficerów oddelegowanych do pracy w aparacie represji w Polsce

w Pradze. Aresztowany na krótko przez Niemców, z końcem 1939 r. dotarł do Związku Sowieckiego, w którym spędził wojnę – bez zaangażowania partyjnego. Następnie, jak pisał, „W roku 1944 (maj) zostałem wezwany do Moskwy – i przez odnośne instancje skierowany ponownie do pracy w Polsce, gdzie wraz z szeregiem innych ludzi zostałem przydzielony do Resortu Bezpieczeństwa Publicznego od pierwszej chwili jego powstania”. Przez kolejne lata – do stycznia 1956 r. – kierował pionem kadrowym Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, a później Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego. Był jednym z najważniejszych funkcjonariuszy bezpieki – chociaż nie był publicznie znany. Odpowiadał za politykę ka-

drową ministerstwa zatrudniającego kilkadziesiąt tysięcy osób. Później wrócił do ZSRS i pracował w Instytucie Historii Partii w Mińsku.

Nasadeni

Obok delegowanych do Polski pojałtańskiej działaczy WKP(b) byli też oficerowie sowieckiej Armii Czerwonej czy innych służb, których skierowano do pracy w MBP, by wzmocnić słabe kadry rodziwej bezpieki. Jedną z takich osób był Wiktor Bielych – Rosjanin. Pisano o nim, że „jest obywatelem Związku Radzieckiego i oficerem Armii Radzieckiej”. Pierwotnie z sowieckiego kontrwywiadu, czyli Smiersza, został skierowany do Informacji Wojskowej (a więc policji politycznej) w armii Berlinga, później do Korpusu Bezpieczeń-

stwa Wewnętrznego, a następnie Wojsk Ochrony Pogranicza. W latach 1951–1954 był wicedyrektorem Departamentu IV, a potem IX MBP – zajmował się operacyjną ochroną obiektów o specjalnym znaczeniu. W 1954 r. z jego aktami osobowymi zapoznał się przedstawiciel Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (czyli późniejszego KGB) Związku Sowieckiego. Jak relacjonował dyrektor Departamentu Kadry Mikołaj Orechwa „Ów przedstawiciel MWD [Ministerstwa Wewnętrznych Dział] oświadczył, że akta osobowe na ppłk. Bielych zostały założone bezpodstawnie, gdyż takowe na niego posiada Zarząd Kadry MWD, natomiast tutaj, jako na oficera K[ontr]W[wywiadu] przebywającego w delegacji służbowej, można sporządzić

informację uwzględniającą jego krótkie dane personalne oraz materiały charakteryzujące z pracy na zajmowanych stanowiskach”. W 1954 r. wrócił do ZSRS, a przytoczony dokument wyjątkowo trafnie ukazuje istotę kierowania sowieckich funkcjonariuszy do rodzimej bezpieki.

Innym krasnoarmiejcem skierowanym do MBP był Jan Snigir – Białorusin, inżynier radiotechnik, dyrektor Departamentu II MBP. Z Armii Czerwonej, w której służył od 1932 r., został w 1944 r. przeniesiony na szefa Wydziału Łączności komunistycznego Polskiego Sztabu Partyzanckiego, a stamtąd trafił do bezpieki. Już jednak w 1947 r. wrócił do ZSRS. Z końcem 1946 r. pisał do Radkiewicza: „Proszę o skierowanie do mnie w jak najkrótszy czas zastępcę żeby mógł przedej jego zaznajomić z pracą departamentu, a poza tym prosić o skierowanie mnie do Związku Radzieckiego. Pracować mnie tu ciężko i to z powodu niesłusznych stosunków do mnie” [pisownia oryginalna].

Nieco inna była sytuacja Ludwika Sielickiego, który identyfikował się jako Polak. Był pułkownikiem Armii Czerwonej, który najpierw, w 1944 r., trafił do Milicji Obywatelskiej, a następnie, od kwietnia 1945 do czerwca 1948 r., pełnił różne funkcje kierownicze w MBP. Później wyjechał do ZSRS.

Latem 1946 r. Sielicki został wycofany z pracy operacyjnej, powierzono mu kierowanie Wydziałem Ochrony Rządu. Zmiana ta była wynikiem skandalu obyczajowego, do którego doszło w jednym z łódzkich hoteli z udziałem Sielickiego, jego agenta i dwóch kobiet, rzekomo potencjalnych informatorów. Ówczesne tłumaczenia Sielickiego są świadectwem m.in. jego tożsamości: „Muszę przyznać, że ja jako odpowiedzialny pracownik, a tym bardziej członek partii, nie miałem prawa tak postępywać jak to było w Łodzi. [...] Zapewniając, że nie jest moim i moralnie rozłożonym człowiekiem. Swoją pracą na froncie walki z reakcją udowodnię, że był i zostaje Bolszewikiem” [pisownia oryginalna].

Osoby kierowane do MBP prezentowały różny poziom – łączyło je jedno: zostali odesłani do bezpieki przez Sowietów tworzących komunistyczną władzę w Polsce. Jedni odegrali w strukturach aparatu represji istotną rolę, inni szybko wrócili do ZSRS. Wszyscy są świadectwem podległości „ludowej” Polski i jej instytucji – Moskwie.

POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

PIASECZNO

Dymisja po gwałcie na policjantce

Po tym, jak na jaw wyszły informacje dotyczące gwałtu na policjantce na terenie warszawskiego oddziału prewencji w Piasecznie, zdymisjonowany został zastępca dowódcy warszawskiego oddziału prewencji policji w Piasecznie. Informację tę podał RMF24.pl.

Wcześniej w tej jednostce miało dojść do gwałtu oraz innej czynności seksualnej na policjantce.

Powodem dymisji jest nie należyty nadzór nad podwładnymi.

O sprawie w środę, 8 stycznia, poinformowała jako pierwsza Telewizja Republika. W jednostce policji w Piasecznie miało dojść do libacji alkoholowej, po czym jeden z funkcjonariuszy miał zgwałcić młodszą koleżankę oraz zmusić ją do innej czynności seksualnej.

Podejrzany o dokonanie tego czynu został zawieszony w czynnościach służbowych, a sąd zdecydował o jego tymczasowym aresztowaniu na trzy miesiące.

WARSZAWA

Pierwsze posiedzenie Senatu



FOT. PAP/PIOTR NOWAK

Senat, który wczoraj o godz. 11 rozpoczął posiedzenie, zajął się m.in. ustawą o rynku kryptoaktywów, wprowadzającą nadzór KNF nad tym rynkiem, oraz nowelą Kodeksu wyborczego umożliwiającą elektroniczne zbieranie podpisów dla kandydatów w wyborach powszechnych.

AUGUSTÓW

Dźgnął nożem 6-letnią córkę

Sąd Rejonowy w Augustowie aresztował na trzy miesiące 41-latkę, który dźgnął nożem swoją sześciolletnią córkę.

Prokuratura poinformowała PAP, że do próby zabójstwa doszło 29 grudnia 2025 r. w Augustowie. 41-letni mężczyzna przyszedł do mieszkania byłej partnerki, w którym przebywały jego dzieci. Policja ustaliła, że wizyta mężczyzny nie wzbudziła

niepokojów kobiety, gdyż mężczyzna regularnie przychodził w odwiedziny. Jednak tym razem chwycił nóż kuchenny i zaatakował swoją sześciolletnią córkę. Dziewczynka trafiła do szpitala. Augustowski sąd aresztował mężczyznę na trzy miesiące. Sąd też postanowił umieścić go w zakładzie psychiatrycznym. Grozi mu kara dożywotniego więzienia.

SŁOWO ROKU 2025

Decyzją kapituły Słowem Roku 2025 został „dron”, na drugim miejscu znalazło się „weto”, a na trzecim – „kosmos”. Z kolei w plebiscycie internautów zwyciężył „kosmos”, drugi był „dron”, trzecie – „weto”. Plebiscyt organizowany jest przez Instytut Języka Polskiego UW oraz Fundację Języka Polskiego od 15 lat. Co roku wybierane są w nim słowa, które najlepiej odzwierciedlają ważne tematy i wydarzenia minionych 12 miesięcy.

”

Projekt związków partnerskich wejdzie prawdopodobnie na pierwsze lutowe posiedzenie Sejmu

Włodzimierz Czarzasty marszałek Sejmu

Spotkanie prezydenta z premierem. Będzie przełom?

Dorota Kowalska
Warszawa

Relacje między prezydentem a ekipą rządzącą od początku nie należały do łatwych. Spotkanie Karola Nawrockiego z Donaldem Tuskiem może choć trochę ostudzić złe emocje, zwłaszcza że Polacy mają już dość tego ciągłego politycznego sporu.

To może być ważny moment w relacjach Pałac Prezydencki – Kancelaria Premiera. Jeszcze w tym tygodniu, prawdopodobnie dzisiaj, premier Donald Tusk spotka się z prezydentem Karolem Nawrockim. Panowie mają rozmawiać o gwarancjach bezpieczeństwa dla Ukrainy po zawieszeniu broni, sporach o nominacje ambasadorskie, w tym kandydatury Bogdana Klicha i Ryszarda Schnepfa, ale tematów, które powinni omówić, jest dużo więcej.

– Liczę, że prezydent Nawrocki skończy pięcioletnią politykę sabotażu działań rządu, zwłaszcza w sprawach, które są dla państwa polskiego w tej chwili najważniejsze, czyli w sprawach zagranicznych i bezpieczeństwa – mówił w Porannej rozmowie w RMF FM Marcin Bosacki, wiceprez MSZ i poseł Koalicji Obywatelskiej.

Stwierdził, że prezydent od miesiąca unika kontaktu z przedstawicielami Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

– Od równo trzech miesięcy prezydent Nawrocki nie odpowiada na propozycję kompromisu w sprawie ambasadorów, sformułowaną na piśmie przez ministra Sikorskiego, po osobistej zresztą rozmowie między oboma panami. Mijamy nadzieję, że tego typu działania sabotujące się skończą – dodał Bosacki.

Dopytywany, w jaki sposób premier Donald Tusk chce dogadać się z prezydentem, podkreślił, że padnie zapewne „daleko idąca propozycja kompromisowa”, podobna do tej, jaką przedstawił już minister Sikorski.

– Rozumiemy spory polityczne, ale w kwestiach dla Polski najważniejszych, czyli bezpieczeństwa (...) i nowej polityki Stanów Zjednoczonych (...) wreszcie będzie otwarcie i rozmowa dorosłych ludzi o najważniejszych



FOT. ADAM JANKOWSKI

Ostatnio prezydent Karol Nawrocki i premier Donald Tusk spotkali się w sierpniu ub. roku

szych problemach Polski – podsumował wiceminister.

Z kolei wiceminister cyfryzacji Michał Gramatyka, także wczoraj rano w stacji RMF24, wezwał prezydenta Karola Nawrockiego, by ten podpisał ustawę o usługach cyfrowych (będącą implementacją unijnego rozporządzenia DSA, Digital Services Act).

– Dzisiaj platformy cyfrowe działają bez jakiegokolwiek kontroli państwa. Mam głęboką nadzieję, że prezydent podpisze ustawę o usługach cyfrowych. To dobra ustawa – przekonywał Gramatyka, dodając, że w Senacie została ona jeszcze poprawiona.

Gramatyka zapewnił jednocześnie, że minister cyfryzacji, wicepremier Krzysztof Gawkowski jest „do dyspozycji prezydenta”.

Jednym z głównych i wzbudzających największe kontrowersje zapisów ustawy jest wprowadzenie zasad moderacji treści w internecie.

– Dziś treści są usuwane na mocy decyzji samych platform. Znikają posty, komentarze, czasem całe profile (jak kiedyś Konfederacja). Polskie państwo nie miało żadnego startu do tych platform – mówił Gramatyka.

Podkreślił, że jeśli nowe prawo weszłoby w życie, to od każdej takiej decyzji przysługiwałoby odwołanie do organu państwowego, konkretnie Urzędu Komunikacji Elektronicznej, gdzie zo-

stał stworzony specjalny departament.

Wiceminister odpierał również zarzuty niektórych polityków (wymienił tu Konfederację), że UKE będzie mogło stosować cenzurę.

– Żadnej cenzury nie będzie. Co więcej, tak poprawiliśmy ustawę w Senacie, by decyzja prezesa Urzędu nie była od razu wykonywana – tłumaczył.

Gramatyka wyjaśnił, że jeśli UKE oflaguje jakąś treść i zwróci uwagę platformie cyfrowej, to jeśli użytkownik zwróci się do sądu, to dana publikacja nie będzie mogła zostać usunięta.

To tylko kilka spraw, które należy załatwić, a przecież na akceptację prezydenta Nawrockiego czekają kolejne ustawy, choćby ta o związkach partnerskich. Szef gabinetu prezydenta Paweł Szefermaker już zapowiedział, że jeśli ta ustawa trafi na biurko Karola Nawrockiego, ten jej nie podpisze. Według prezydenckiego ministra nowe przepisy zrównują związki partnerskie z małżeństwem, a na to nie ma zgody.

Tymczasem, według sondaży Polacy mają już dość sporu na linii prezydent Nawrocki – rząd.

Karol Nawrocki otwarcie mówi, że Donald Tusk jest najgorszym premierem w historii III RP, co niczego dobrego ich relacjom nie wróży

O to, jak napięta atmosfera między premierem a prezydentem wpływa na państwo, zapytano w sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski.

„Czy Pana/i zdaniem konflikt pomiędzy premierem Donaldem Tuskiem a prezydentem Karolem Nawrockim prowadzi do paraliżu państwa i uniemożliwia wprowadzanie koniecznych reform?” – brzmiało pytanie.

Zdecydowana większość respondentów – w sumie aż 76 proc. – odpowiedziała na nie twierdząco. O tym, że kłótnie na szczycie działają na niekorzyść państwa, przekonanych było 34 proc. ankietowanych, a odpowiedź „raczej tak” wybrało 42 proc. uczestników badania.

Co ciekawe, Polacy nie wierzą jednak, że stosunki między dwoma pałacami ulegną poprawie.

Z badania United Surveys by IBRIS na zlecenie Wirtualnej Polski, przeprowadzonego zaledwie dwa dni temu wynika, że 84,8 proc. ankietowanych przewiduje złe relacje między Donaldem Tuskiem a Karolem Nawrockim. Najczęściej wskazywaną odpowiedzią było stwierdzenie, że relacje prezydenta z premierem będą „zdecydowanie złe”, co zadeklarowało 44,3 proc. badanych. Kolejne 40,5 proc. uważa, że będą „raczej złe”.

Wiarę w dobrą współpracę deklaruje jedynie 10,6 proc. respondentów.

Współpraca Adam Kielar

Strzelanina przed kościołem mormonów w Salt Lake City. Nie żyją dwie osoby

Oprac. Anna Nagel
USA

W środę wieczorem na parkingu przed kaplicą mormonów rozległy się strzały. Zginęły dwie osoby.

Dwie osoby zginęły, a sześć zostało rannych w strzelaninie, do której doszło w środę wieczorem czasu miejscowego na parkingu przed kaplicą Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich w Salt Lake City w stanie Utah - poinformowały lokalne media i policja.

Trzy osoby są w stanie krytycznym, a stan trzech innych ofiar jest nieznany, ponieważ zostały przewiezione do placówek medycznych przez osoby prywatne - poinformował

rzecznik policji w Salt Lake City. Dodał, że sytuacja jest wciąż napięta.

„W kościele odbywał się pogrzeb” - powiedział reporterom rzecznik. „Na parkingu doszło do jakiejś sprzeczki i wtedy padły strzały”.

Władze poinformowały, że żaden podejrzany nie został zatrzymany, ale policja rozpoczęła obławę.

Miejskowe biuro FBI oświadczyło na X: „Jesteśmy świadomi incydentu w Salt Lake City i oferujemy pomoc naszym partnerom z organów ścigania”.

W Salt Lake City znajduje się główna siedziba Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, zwanego powszechnie Kościołem mormonów. PAP



Władze poinformowały, że żaden podejrzany nie został zatrzymany, ale policja rozpoczęła obławę

Po zastrzeleniu kobiety szkoły odwołały zajęcia

Oprac. Anna Nagel
USA

Szkoły w Minneapolis w USA odwołały zajęcia w czwartek i piątek po tym, jak w środę funkcjonariusz służb imigracyjnych (ICE) zastrzelił w mieście kobietę protestującą przeciw akcjom deportacyjnym.

W środowy wieczór setki mieszkańców miasta uczestniczyły w czuwaniu po zastrzelonej kobiecie. Mniejsze zgromadzenia, w tym marsze, które według miejscowych mediów przebiegły w sposób pokojowy, odbyły się również w innych miejscowościach w Minnesocie.

37-letnia Macklin Good zginęła w środę podczas szeroko zakrojonej akcji deportacyjnej. Na nagraniach wideo wykonanych przez świadków widać

funkcjonariusza podchodzącego do stojącego na środku ulicy auta. Następnie chwycił on za klamkę i żąda od przebywającej w środku Good, by otworzyła drzwi. Na filmie widać, jak samochód rusza, a inny funkcjonariusz ICE, stojący przed samochodem, wyciąga broń i oddaje co najmniej dwa strzały z bliskiej odległości, po czym odskakuje, gdy pojazd się do niego zbliża.

Lokalna policja podała, że kobieta została postrzelona w głowę i zmarła po przewiezieniu do szpitala. Sprawę przejęło FBI oraz stanowe organy śledcze.

Jeden ze świadków zdarzenia powiedział publicznej radiostacji MPR, że ofiara „nie stanowiła absolutnie żadnego zagrożenia dla żadnego z agentów”. PAP

Francuscy rolnicy mówią „nie” umowie UE z krajami Mercosuru

Oprac. Anna Nagel
Francja

Rolnicy z południowej Francji wjechali wczoraj rano kilkudziesięcioma traktorami na ulice Paryża, aby zaprotęstować przeciw planowanemu zawarciu umowy handlowej między Unią Europejską a południowoamerykańskim blokiem Mercosur. Część pojazdów zaparkowała pod Wieżą Eiffli.

- Jeżdżą po Paryżu, a zwłaszcza przejeżdżają przez Pola Elizejskie - powiedział agencji AFP rzecznik związku zawodowego Koor-dynacja Obszarów Wiejskich (CR).

Protest przeciwko umowie

Związkowcy chcą w ten sposób zaprotęstować w szczególności przeciwko umowie z krajami Mercosuru, ale też przeciw grudniowym działaniom rządu w sprawie epidemii choroby guzowatej skóry bydła (LSD).

Prezes CR w Oksytanii Bertrand Venteau zapowiedział, że zamierza „w sposób pokojowy” przedstawić żądania francuskim parlamentarzystom i w symbolicznych miejscach Paryża, nawet jeśli oznaczałoby to, że połowa uczestników protestu „trafi w ręce policji”. Dodał, że rolnicy biorący udział w proteście chcą pozostać w stolicy jak najdłużej. Zapewnił, że nie przyjechali po to, aby „niszczyć”.



Francuscy rolnicy zablokowali traktorami rondo na Polach Elizejskich podczas demonstracji w ramach ogólnokrajowego dnia protestów i działań zwołanych przez kilka związków rolniczych

- To, czego chcielibyśmy przede wszystkim, to zobaczyć się z przewodniczącymi Zgromadzenia Narodowego (niższej izby parlamentu) i Senatu - dodał Venteau. Skrytykował „zbyt wielką liczbę przepisów”, mówił też o parlamentarzystach, którzy od 30 lat „zabijają francuskie rolnictwo”.

Zarządzenie paryskiej prefektury zabrania ciągnikom wjazdu do niektórych newralgicznych obszarów stolicy obejmujących teren Pałacu Elizejskiego oraz siedzib rządu, parlamentu i ministerstwa rolnictwa - podała AFP.

Rzeczniczka rządu Francji Maud Bregeon powiedziała

w czwartek, że akcje protestu podjęte przez rolników, w tym blokowanie autostrad i próba przedostania się pod parlament, są nielegalne.

Co zakłada umowa?

Umowa o wolnym handlu między Unią Europejską a Mercosurem ma wprowadzić preferencje handlowe dla wybranych

Protestują przeciwko umowie z krajami Mercosuru, ale też przeciw działaniom rządu ws. epidemii choroby guzowatej skóry bydła

produktów rolnych z Brazylii, Argentyny, Paragwaju i Urugwaju. W zamian Mercosur ma otworzyć się na unijny przemysł. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen chciała oficjalnie podpisać umowę w Brazylii pod koniec grudnia, ale nie uzyskała niezbędnego poparcia ze strony państw członkowskich UE.

Umowa jest postrzegana przez KE i część państw Unii jako szansa na zróżnicowanie partnerów handlowych wobec coraz bardziej asertywnej postawy Stanów Zjednoczonych i Chin. Porozumieniu sprzeciwiają się Polska i Francja, sceptyczne wobec umowy są też Włochy. PAP

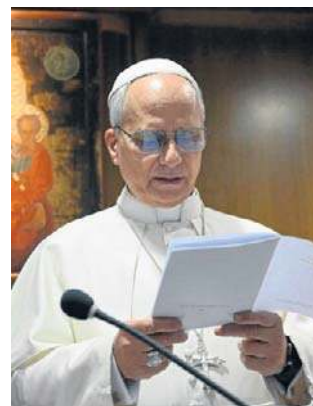
Papież Leon XIV do kardynałów: konsystorz nie jest spotkaniem zespołu ekspertów

Oprac. Karolina Wrońska
Watykan

Papież Leon XIV powiedział wczoraj kardynałom z całego świata przybyłym na nadzwyczajny konsystorz, że nie jest to spotkanie zespołu ekspertów, w trakcie którego należy promować osobiste lub grupowe plany działania.

W homilii w Bazylice Świętego Piotra papież zauważył, że konsystorz jest wyrazem jedności w służbie Kościołowi.

- Ważne na każdej drodze życia jest zatrzymanie się, aby się pomodlić, słuchać, rozważać, i w ten sposób coraz lepiej skupiać spojrzenie na celu, kierując ku niemu wszelkie wysiłki i zasoby, aby nie groziło nam bieżące na oślep lub zadawanie ciosów w próżnię - powiedział



Papież Leon XIV

Leon XIV. - Nie jesteśmy tu boiemy po to, aby promować plany działania, osobiste lub grupowe, ale by powierzyć nasze projekty i inspiracje ocenie rozeznania, które nas przewyższa - dodał.

Papież zaznaczył, że Kolegium Kardynalskie, choć bogate

w wiele kompetencji i znaczących talentów, nie jest powołane do tego, aby było przede wszystkim zespołem ekspertów, lecz wspólnotą wiary.

- Nasze zatrzymanie się jest zatem przede wszystkim wielkim aktem miłości wobec Boga, Kościoła oraz mężczyzn i kobiet na całym świecie, poprzez który pozwalamy się kształtować Duchowi Świętemu - oświadczył.

Papież podkreślił, że także całe Kolegium Kardynalskie wraz z nim może czuć się niezdolne i pozbawione środków, „stojąc wielkim tłumem ludzkości spragnionej dobra i pokoju w świecie, w którym sytość i głód, dostatek i nędza, walka o przetrwanie i rozpaczliwa egzystencjalna pustka nadal dzielą i ranią ludzi, narody i wspólnoty”.

- Nie zawsze uda nam się znaleźć niezwłoczne rozwiąza-

nia problemów, z którymi musimy się zmierzyć. Zawsze jednak, w każdym miejscu i w każdej sytuacji, możemy pomagać sobie nawzajem, a w szczególności pomagać papieżowi - stwierdził.

W nadzwyczajnym konsystorzu, który zakończył się w czwartek, uczestniczyli kardynałowie z Polski. To papieski jałmużnik Konrad Krajewski, metropolita krakowski Grzegorz Ryś, emerytowany metropolita Warszawy Kazimierz Nycz, emerytowany metropolita krakowski Stanisław Dziwisz i były archiprezbiter Bazyliki Matki Bożej Większej Stanisław Ryłko.

Wśród tematów narady Leona XIV z purpuratami były reformy papieża Franciszka, rola Kurii Rzymskiej, kwestie liturgii. PAP

tygodnik Regionów

Piątek, 9.01.2026

REPORTAŻ

Nocny dyżur w pogotowiu ratunkowym. Święta to trudny okres **str. 12-13**

OKLASKI

Krystian Sibiński z Główniczyc stworzył świąteczny film **str. 14**

ROZMOWA

Piotr Biernat po 25 latach w Kanadzie wrócił do Szczecina **str. 15**

DO POCZYTANIA

Choć wolne dni już za nami, to czas na książkę warto mieć zawsze **str. 16**



FOT. LUKASZ CAPAR

Po drugiej stronie książki jest jej autorka. Poznajcie Agatę Bartoszek-Gaj

Na co dzień pracuje w szkolnej bibliotece i organizuje literackie imprezy. W czasie wolnym pisze poezję i prozę. Jej pasją są też fitness i podróże na Junaku **str. 10-11**

Po drugiej stronie książki, czyli co autorka miała, a czego nie miała na myśli

Anna Czerny-Marecka
Słupsk

Rozmowa z Agatą Bartoszek-Gaj, słupską pisarką i poetką, nauczycielką języka polskiego i bibliotekarką, z okazji wydania jej najnowszej książki i 10-lecia pracy twórczej.

Na księgarskie półki właśnie trafiła Twoja najnowsza książka „Po drugiej stronie mężczyzny” – zbiór opowiadań o dziesięciu znanych parach z różnych okresów historycznych. W świetle reflektorów stawiasz kobietę. Co wpisuje się w całą Twoją twórczość, w której często dajesz głos właśnie kobietom i pokazujesz ich cierpienie spowodowane przez mężczyzn i złe związki. A jednak we wstępie do najnowszej książki piszesz tak: „(...) historia świata mierzona jest przede wszystkim siłą męskich osiągnięć. (...) Taki jest porządek natury. My, kobiety, nie zmienimy go i chyba zawsze będziemy stać po drugiej stronie mężczyzny. (...) Na szczęście miejsce wobec was wtórne jest dla nas najlepszym z możliwych. Dlaczego? Bo dzięki niemu nadal będziemy mogły być mniej odpowiedzialne za los wszechświata, a to zapewne (ugruntuje!) nam dłuższe życie”. Odczytałam to jako ironię, ale zwątpiłam, czytając takie zdanie z posłowie: „Apeluję o otwarcie się na literacką zabawę i porzucenie pokusy ideologizowania (a zwłaszcza feminizowania) zapisanych tu treści”. Nie lubisz feminizmu? Godzisz się na patriarchalny porządek? Lubię feminizm wtedy, gdy potrafi się śmiać – także z siebie. A nie lubię go wtedy, gdy traci poczucie humoru i zamienia się w instrukcję obsługi świata. Ten fragment wstępu to oczywiście ironia, ale ironia podszyta doświadczeniem: przez wieki historia była mierzona cudzym mieczem, cudzym podpisem i cudzym ego, a kobiety stały „obok”, „za”, „po drugiej stronie”. Nie dlatego, że tak

chciały, tylko dlatego, że tak je ustawiono. Drugoplanowa rola kobiet w historii i kulturze nie wynikała z jednego źródła ani z prostego braku ambicji czy talentu. Była efektem splotu czynników biologicznych, społecznych i kulturowych, które przez stulecia wzajemnie się wzmacniały. Najpierw zdecydowała praktyka: świat pierwotnych wspólnot opierał się na sile fizycznej, mobilności i gotowości do walki. Cięża, poród i opieka nad dziećmi – nie jako „los”, lecz jako realne ograniczenie – lokowały kobiety bliżej centrum życia domowego niż publicznego. Z czasem to, co było koniecznością, zaczęło uznawać za normę, a normę za naturalny porządek rzeczy. Nie bez znaczenia był też wymiar symboliczny. Kultura Zachodu przez wieki opierała się na opozycjach: rozum – emocje, kultura – natura, duch – ciało. Kobiety przypisywano tej drugiej stronie pary – bliższej naturze, cielesności, zmienności. To, co zmienne i kruche, rzadko bywa uznawane za godne pomnika. W efekcie kobiecość stała się inspiracją, muzą, metaforą, ale rzadziej podmiotem opowieści. Drugoplanowość kobiet była więc nie tyle wykluczeniem, co systemowym przesunięciem w stronę „zaplecza” świata. Kobiety miały podtrzymywać ciągłość, a nie zakłócać ją widocznością. Dopiero współczesna perspektywa pozwala zobaczyć, że to zaplecze było fundamentem – niewidzialnym, ale niezbędnym. A historia i kultura, które zaczynają ten fundament dostrzegać, nie tyle rewidują przeszłość, co wreszcie opowiadają ją pełniej. Nie godzę się na patriarchat jako system, ale przyglądam mu się z ciekawością pisarki. Literatura nie jest od wydawania certyfikatów moralnej poprawności ani od budowania ideologicznych barykad. Jest od zadawania niewygodnych pytań, od paradoksu i od zabawy formą. Gdy proszę o „nieideologizowanie” tekstu, proszę po prostu, by pozwolić litera-



Promocja książki „Po drugiej stronie mężczyzny” w Białym Spichlerzu w Słupsku

AGATA BARTOSZEK-GAJ

Absolwentka II LO oraz polonistki w Akademii Pomorskiej w Słupsku. Pracuje jako nauczycielka języka polskiego, bibliotekarka i instruktorka fitness. Była rzecznikiem prasowym drużyny koszykarskiej Energa Czarni Słupsk i prowadziła autorskiego bloga „Babskie Gadanie, czyli alternatywne spojrzenie na koszykówkę (i koszykarszy)”. Debiutowała zbiorem opowiadań „Reminiscencje” (Wydawnictwo Novae

Res) w roku 2016, nominowanym do nagrody w konkursie „Książka na jesień 2016”. Potem wydała tom poetycki „A w moim ogrodzie rosną” (Liberum Verbum) i dwie powieści: „Wieżę z piasku” i „Cenę złudzeń” (Replika). W 2021 roku światło dzienne ujrzał jej kolejny tomik poetycki – „Pan Demiurg” (Liberum Verbum) będący cyklem liryków z czasów pandemii. W 2023 roku wydała powieść społeczno-psychologiczną pt. „Miętów-

ka” (Liberum Verbum), która została nominowana do Nagrody Europy Środkowej Angelus 2024. W 2025 roku ukazał się zbiór opowiadań pt. „Po drugiej stronie mężczyzny” (Liberum Verbum). Laureatka literackich konkursów rangi ogólnopolskiej i międzynarodowej. Jurorka konkursów twórczości dla dzieci i młodzieży o Witkacym itp. Została wybrana do piętki najlepszych nauczycieli na Pomorzu.

FOT. LUKASZ CAPAR

turze być literaturą, a nie manifestem ani aktem oskarżenia. Może po prostu chcę sobie trochę z tego odwiecznego patriarchatu pożartować, szturchnąć go łokciem itp. Nie zmienię świata, ale mam prawo go sobie pozaczepiać i z nim podyskutować.

Najnowsza Twoja książka jest spójna z Twoją dotychczasową twórczością pod kilkoma względami. Pierwszy to zabawa literacka, erudycja, gra z mitami kultury wysokiej i popkultury. Czemu to służy? Dlaczego tak dużo jest tego w Twoich powieściach i opowiadaniach?

To mój sposób osławiania świata – mit, kultura wysoka i popkultura, erudycja i stereotypy kulturowe są jak wspólny język, którym kultura posługuje się w dialogu z jej odbiorcami. Zabawa literacka pozwala mi zdejmować pomniki z piedestałów i sprawdzać, co się pod nimi naprawdę skrywa (typowa babska ciekawość!). Gra z tym, co wysokie i niskie, jest też gestem demokratycznym: pokazuje, że sensy nie rodzą się wyłącznie w świątyniach kultury, ale także na ich zapleczu. Konfrontowanie się ze stereotypami kulturowymi jest dla mnie nieodłączną częścią tej gry, bo stereotyp to skrót myślowy, który literatura powinna rozbrajać, a nie utrzymywać. Gdy rozbijamy utarte wyobrażenia, odsłaniamy pęknięcia w narracjach, które przez lata uchodziły za oczywiste. Literatura właśnie w tych pęknięciach odzyskuje swoją żywotność i zdolność do realnego wpływu. Dzięki temu mogę mówić o sprawach poważnych bez tonu kaznodziejstwa. Ironia działa jak wentyl bezpieczeństwa – chroni przed patosem i przed zbyt łatwymi odpowiedziami. Erudycja nie jest u mnie popisem, lecz narzędziem dialogu z czytelnikiem, który rozpoznaje tropy albo odkrywa je po raz pierwszy. A przede wszystkim taka forma daje mi wolność: mogę pytać, prowokować i opowiadać historie, które nie udają, że świat jest prostszy niż jest naprawdę.

Drugi stały element Twoich utworów to pokaźny ładunek filozofii i wiedzy z historii filozofii. Dlaczego tak lubisz „pofilozofować”?

Bo filozofia to jedyna dziedzina, w której można oficjalnie zadawać wielkie pytania i nikt nie oczekuje natychmiastowej odpowiedzi. Traktuję ją raczej jak dobrze wyposażoną skrzynkę z narzędziami niż jak świątynię mądrości. Gdy moi bohaterowie zaczynają „filozofować”, to zwykle dlatego, że życie ich do tego zmusza, a nie dlatego, że

przeczytali Platona do poduszki. Historia filozofii daje mi gotowe pytania, które od wieków pozostają niepokojąco aktualne. Ja tylko pożyczam je na chwilę i sprawdzam, jak brzmią w dzisiejszym świecie. Staram się przy tym nie udawać filozofa – jestem raczej amatorką zdziwienia. A jeśli przy okazji ktoś pomyśli: „To ciekawe, w tym jest jakaś prawda”, to uznaję to za pełen sukces.

Trzecia zauważalna w Twoich tekstach prawidłowość to język: bogaty, czasem wręcz barokowy. Wyrafinowana budowa zdań, bogaty słownik. Co mnie zaskakuje, to jednorodność języka. Tym samym językiem mówią wszystkie postaci niezależnie od ich statusu, wykształcenia, okresu historycznego. Dlaczego tak?

Bo to ja mówię, tylko czasem w przebraniu bohaterów. Nie wierzę w absolutny realizm językowy, który udaje, że literatura jest stenogramem z życia. Jednorodny język jest u mnie umową z czytelnikiem, a nie błędem warsztatowym. Chcę, żeby postacie spotykały się w tej samej przestrzeni języka, nawet jeśli dzielą je epoki, klasy i biografie. Ten barok to nie ornament, lecz sposób myślenia – zdanie musi unieść sens, ironię i emocję naraz. Trzeba się więc nieźle nagimnastykować i w efekcie wychodzi, co wychodzi. Język literacki pozwala mi wyrównać hierarchie: król i służąca mogą mówić z tą samą godnością. Podobny styl podkreśla też to, co w nich wspólne – fundamentalne lęki, pragnienia i pytania, które nie zmieniają się wraz z modą ani ustrojem. Dzięki temu historia przestaje być muzeum głosów, a staje się żywą rozmową. A jeśli czasem brzmi to zbyt pięknie, pocieszam się myślą, że podobno dzisiaj i tak nikt nie czyta książek.

Spójrzmy na 10 lat Twojego pisarstwa. Wszystkie swoje literackie dzieci kochasz tak samo? Czy masz jakieś najbardziej ulubione? A nieudane? Jak to oceniasz z dzisiejszej perspektywy?

Moje książki to w dużej mierze obraz moich własnych przemian. Próbuję kochać siebie w każdej wersji, nawet tej niedoskonałej i niepewnej. Debiut, czyli opowiadania „Reminiscencie”, był dla mnie prawdziwą inicjacją literacką – autentyczną, płynącą prosto z duszy, pełną entuzjazmu i tolerancji dla własnej nieporadności. Tamten moment był ważny, bo nauczył mnie odwagi w pisaniu i w życiu sobą w literaturze. Powieść „Miętówka” jest dla mnie szczególna, bo pozabawiłam ją narratora i oddałam

pole dialogom postaci, mogłam więc schować się raz za jedną z postaci, raz za inną. Sprawilo to, że pisanie poszczególnych rozdziałów było jak zabawa kalejdoskopem. Z kolei „Po drugiej stronie mężczyzny” lubię za to, że udało mi się spojrzeć na historię znanych par z zupełnie innej perspektywy – kobiecej, uważnej i pełnej niuansów. I za to, że mimo różnych epok i kontekstów każda opowieść zachowuje literacką spójność i pozwala czytelnikowi wnikać w emocje bohatera. Cieszę się, że książka pokazuje siłę wyobraźni i ironii w opowiadaniu historii, które w podręcznikach często są „płaskie” i jednoznaczne. Jestem też dumna z tego, że udało mi się zachować równowagę między erudycją, zabawą literacką a autentycznym, ludzkim doświadczeniem. Każda książka, którą pisałam przez te 10 lat, była dla mnie jak etap podróży, w którym uczyłam się siebie i świata. Nie oceniam ich w kategoriach „udane” czy „nieudane”, tylko jako zapisy mojej drogi, moich pytań i doświadczeń. To podejście pozwala mi patrzeć wstecz z czułością, a nie krytyką.

Po Twoich utworach widać, że masz olbrzymią łatwość pisania, lekkość pióra. Tak samo łatwo przychodzą pomysły fabularne i postaci? Skąd się biorą?

Hmmm, żeby odpowiedzieć na to pytanie, zastosuję porównanie. Pomysły i postaci przychodzą do mnie trochę jak nieproszeni na przyjęcie goście – czasem wchodzą cicho, czasem z hukiem, ale zawsze wiedzą, że zostaną ugostzeni. Lubię zaczepiać ludzi w realnym świecie, obserwować ich gesty, słuchać, jak mówią, jak się kłócą i jak się śmieją – i to wszystko przenika potem do moich bohaterów. Często rozmawiam też sama ze sobą, prowokuję dialogi, zadziwiam się absurdami życia, i nagle okazuje się, że historia sama zaczyna płynąć. Pomysły lubią przychodzić w najmniej oczekiwanych momentach – w ciągu, podczas prowadzenia lekcji, w kuchni (gdzie z podziwem obserwuję, jak mój wspaniałomyślny mąż próbuje zapewnić nam przetrwanie, ponieważ mnie Matka Natura pozbawiła mnie talentu kulinarnego), przy próbie zaśnięcia – i czasem trzeba je tylko złapać w locie. Lekkość pióra to efekt tych wszystkich prób, błędów i eksperymentów. A bohaterowie? Są jak przyjaciele, z którymi czasem kłócę się, czasem żartuję, ale wciąż chcę ich słuchać. Najprościej mówiąc: pomysły i postaci są wszędzie, jeśli tylko pozwolimy sobie na bycie czujnym

i ciekawym świata. I odrobine zaczepnym. Jak ja.

Jaki masz styl pracy? Planujesz, wiesz wszystko, co się wydarzy od początku do końca, czy utwory rozwijają się stopniowo? Piszesz codziennie określoną liczbę słów, czy jak Ci wena natchnie? Masz przecież dużo zawodowych obowiązków. Jak to godzisz?

Moja metoda pisania wygląda trochę jak tworzenie porządku z chaosu – pisuję nieregularnie, zrywami, czasem kompulsywnie, jakby ktoś włączył w mojej głowie mikser pomysłów. Wcześniej nie robię notatek ani planów, ponieważ rozpoczął proces pisarski trwa w mojej głowie non stop, nawet gdy próbuję udawać, że odpoczywam. Po napisaniu książki często muszę zrobić sobie przerwę, bo czuję się wewnętrznie styrana jak po wyczerpującym treningu ze sztangą. Zresztą, gdy piszę, ćwiczę częściej niż zwykle, ponieważ w ten sposób oczyszczam umysł i łapię dystans. Potem jednak wracam do tekstu i czytam go uważnie dwa razy: pierwszy raz, żeby sprawdzić, czy wszystko ma sens i jest zrozumiałe, drugi raz, żeby poprawić język i nadać mu jeszcze więcej trafności, precyzji i finezji. Lubię myśleć, że w tym drugim czytaniu trochę czaruję i sprawiam, że chaos nabiera kształtu, a słowa zaczynają układać się w dźwięczną i rozkoszną dla ucha melodię. Cały proces jest więc mieszanką improwizacji, wysiłku, wyczerpania, rzemieślniczego dłubania w słowie i radości z osiągnięcia jakiegos finału. A potem smutku, że to już koniec. Poza tym, jeśli ma się mnóstwo obowiązków i niewiele czasu, nie można czekać na wenę jak na mannę z nieba – to brawura! Trzeba ją po prostu złapać za rękę i przyprowadzić do głowy siłą. Ma współpracować na żądanie i nie robić scen! Podlewam ją wtedy dobrą kawą, serniczkiem i białymi michałkami. Jak dotąd udaje się nam dogadać.

A tak w ogóle, to skąd się to Twoje pisanie wzięło? Przy okazji 10-lecia warto chyba spojrzeć na początek drogi...

Moje pisanie wzięło się trochę z przypadku, trochę z zachwyty nad światem i ludźmi, a trochę z tego, że nie potrafię milczeć, kiedy coś mnie zachwyca, drażni albo rozśmiesza. Już na początku drogi miałam sporo szczęścia: zostałam jedną z laureatek Pomorskiego Konkursu dla Nauczycieli organizowanego przez Pomorską Bibliotekę Pedagogiczną w Słupsku, i pamiętam, że w kuluarach mój dawny wykładowca akade-

micki, nieżyjący już profesor Sławomir Rzepczyński, powiedział mi coś, co do dziś brzmi w mojej głowie – że w moim pisaniu jest coś niezwykle intrygującego i głębokiego i że powinnam pisać dalej. To było jak iskra, która zapaliła we mnie pewność, że warto próbować. Potem, kiedy podesłałam fragmenty moich tekstów profesorowi Janowi Miodkowi, jego entuzjastyczna recenzja dosłownie dodała mi skrzydeł. Fruwałam dwa metry nad ziemią, choć chwilę wcześniej poświęciłam prawie godzinę na odpisanie jednego zdania na mejla Pana Profesora (po stokroć sprawdzając poprawność zapisu każdego słowa). Te dwa momenty sprawiły, że pisanie przestało być tylko prywatną przyjemnością, a stało się moim oficjalnym i publicznym sposobem patrzenia na świat. A potem przyszły nagrody w ogólnopolskich i międzynarodowych konkursach literackich, które próbowały mnie przekonać, że nie jestem najgorszą literatką świata. Uwierzyłam. I choć 10 lat minęło jak jeden dzień, wciąż czuję ten sam rodzaj ekscytacji, gdy siadam do pisania: znikam dla świata, owijam się własnymi myślami i rzeźbię w pocie czoła kolejne linijki tekstu. A potem z pogardą patrzę na wagę, która chce ukarać mnie za pożarcie białych michałków.

W jakim kierunku dalej pójdziesz jako pisarka i poetka? Czym nas zaskoczysz? Jakież

masz pisarskie plany na nowy rok? I twórcze marzenia?

Myślę, że wciąż będę błąkać się po zakamarkach literatury i szukać swojego miejsca, choć wszystko wskazuje na to, że nie chcę go znaleźć. Pisanie uzależnia nie mniej niż białe michałki! Ja już chyba nie umiem nie pisać. I choć za każdym razem powtarzam sobie, że to już na pewno ostatnia książka i czas znaleźć nowe hobby, jak bumerang wracam do pisania. Podczas ostatniego spotkania promocyjnego czytelnicy podsunęli mi pomysł napisania książki pt. „Po drugiej stronie kobiety”. Miałaby to być męska odpowiedź na kobiecą perspektywę. Nie będę ukrywać, że kusi mnie ta wizja. Jeśli uda nam się z mężem zrealizować kolejne podróżnicze plany z serii „Junakiem w świat”, to na pewno powstanie książka-pamiętnik tej wyprawy. Podczas naszych wojaży tym starym motoosiółkiem przydarzyło się nam tak wiele przygód, że żal byłoby się nimi nie podzielić. A jeśli ktoś pyta, w którą stronę idę, odpowiem: tam, gdzie można wsadzić wścibski babski nos, zburzyć zastany porządek, podważyć prawdy ogólne, sprokować do zmiany perspektywy myślenia i zachęcić do wejścia w świat literatury – nieoczywistej jak człowiek, starej jak świat, a jednak wciąż zaskakującej nowymi rozwiązaniami treściowymi i formalnymi. Dokąd dojdę? Nie wiem, ale na pewno to opiszę. ©P

O KSIĄŻCE „PO DRUGIEJ STRONIE MĘŻCZYNY”



„Po drugiej stronie mężczyzny” prawie zawsze stoi kobieta, która jest lustrem odbijającym jego myśli, pragnienia i motywy różnorodnych działań. Książka to cykl nietuzinkowych opowiadań, których bohaterami są mniej i bardziej znane w kulturze pary: Zeus i Hera, Abelard i Heloiza, Francesco i Laura, Peter Paul Rubens i Helena Fourment, William Shakespeare i Anne Hathaway, Adam Mickiewicz i Karolina Kowalska, Virginia i Leonard Woolfowie, Tamara i Tadeusz Łempiccy, Marilyn Monroe i John Kennedy. Ostatnia para znana jest jedynie lokalnie. To Kathrine i Andre-

as Zimmermannowie – historia ostatniej słupskiej czarownicy i jej męża. Pary te zostały postawione w nowych układach sił, choć większość epizodów rozpoczyna się według znanego schematu. Pełna znajomość biografii bohaterów nie jest konieczna, a nawet może się okazać balastem, albowiem autorka dokonała odważnej ich reinterpretacji. Tym razem światło reflektorów i zainteresowanie skierowane zostały na pierwiastek kobiecy, a męski stał się dla niego tłem, choć – jak podkreśla autorka – jest to tło nieodzwonne. Książka Agaty Bartoszek-Gaj jest nieprzewidywalna, pełna dynamicznych zwrotów akcji i chwilowych konstelacji, które niczym w kalejdoskopie nagle zmieniają się w inne. Ponadto nad wyraz spójnie łączy prawdę z fikcją, tragizm z komizmem, przeszłość z teraźniejszością i codzienność z niezwyczajnością.

Maciej Czerniak
Pomorzanie

W sobotę wieczór na parkingu przy Markwarta w Bydgoszczy, w siedzibie Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego stoi kilka ambulansów. Dwa na włączonych silnikach. Jeden właśnie przyjechał. Rozbłyskują niebieskie światła, szlaban się unosi, drugi wyjeżdża na interwencję.

W budynku korytarze z przygaszonymi światłami. Ci ratownicy, których nie ma w pomieszczeniach socjalnych, są na wyjazdach. W pokoju, do którego wchodzimy, jest prawie domowo: kuchnia, stół, na nim serweta, choinka i talerzyk z pozostałościami oplatka. Już po firmowej Wgili.

W święta zło jest jakoś bliżej

Do pomieszczenia zagląda dwóch mężczyzn, witają się, przechodzimy wszyscy do pokoju socjalnego, który przez trwającą właśnie 24-godziną zmianę jest dla nich drugim domem. A tam dwa łóżka, aneks kuchenny, stolik kawowy, szafki.

Bartosz i Kamil właśnie przyjechali z interwencji na Bielawach. Niedaleko od stacji WSPR. Wezwanie dotyczyło urazu głowy.

- Uraz twarzoczaszki, akcja z nożem - mówi Bartosz Wiśniewski, krzątając się po pomieszczeniu. W końcu siada, przychodzi też Kamil. Możemy rozmawiać. - Ostatnio chyba więcej takich sytuacji.

Bartek ma za sobą 12 lat pracy w pogotowiu. Po dyżurach trenuje MMA. Kamil Lutowski jest ratownikiem od czterech lat. Zaczynał w 2021 roku, jeżdżąc w transportach covidowych.

W ogóle weekend to gorący czas. - Ratownicy z Markwarta „obrabiają” Stary Rynek, te wszystkie kluby, knajpki. Pamiętam jeszcze, kiedy jeździłem na P9 ze Słowiańskiej, to mieliśmy zawsze małe starcie, kto jedzie na wezwanie na Stare Miasto. Tam czekają nas niespodzianki. Wiadomo, ludzie pod wpływem alkoholu, środków odurzających. Dużo gapiów. Można wpaść w sam środek chaosu.

Bartek: - Właściwie to nie chodzi o czas w ciągu dnia czy dzień w tygodniu. Najczęściej przyczyną, dla której wyjeżdżamy na wezwanie, jest właśnie ten nieszczęsny alkohol. On towarzyszy wszelkim urazom, aktom agresji, stanom depresyjnym.

I ten świąteczny akcent: wezwania związane z myślami suicydalnymi. - Jest ich więcej w święta, na pewno. Więcej kryzysów emocjonalnych, więcej ludzi, którzy zostają sami, rozpamiętują tych, którzy odeszli, nie potrafią sobie poradzić



Jeżeli wezwanie jest pilne, ambulans musi wyruszyć do niego w ciągu 60 sekund. Na zdj. ratownik Łukasz Wierchucki

z problemami. Młodszy, starsi, nie ma reguły. Takie święta z naszej perspektywy - mówi Maciej Romaniuk, ratownik z dziesięcioletnim stażem pracy.

Z nożem na odległość dwóch kroków

Jak alkohol, to i agresja. Bartek wspomina wyjazd sprzed miesiąca. Komunikat był krótki, hasłowy, jak zawsze: „Pacjent z zaburzeniami psychicznymi”. Pogotowie wezwali domownicy.

- Przyjeżdżamy, patrząc, a ten mężczyzna idzie na mnie z nożem. Był dwa metry ode mnie, kiedy się zorientowałem.

Szczęśliwie na miejscu był też patrol policji. Agresora udało się sprawnie obezwładnić. Bartek chwycił jedną rękę, tę w której niebezpieczny osobnik trzymał nóż, a policjant drugą. Akcja trwała sekundy - nóż wytrącony, a niebezpieczny osobnik leży na ziemi. Potem transport do szpitala, do izby przyjęć psychiatrycznej.

- Był drobnej postury i pod wpływem alkoholu, więc szans z nami nie miał, ale nie zawsze musi tak być. Ludzie pod wpływem nie zastanawiają się nad konsekwencjami swoich decyzji, działają impulsywnie. Wszystko mogło się zdarzyć.

Pacjent, który bije

W ostatnich latach nie brakuje doniesień o atakach na ratowników medycznych. Do jednej z najbardziej szokujących napaści doszło w 2024 roku, na bydgoskim osiedlu Opławiec. To była interwencja na ulicy domów jednorodzinnych. Pacjent był już w karetce, kiedy jego krewny odsunął drzwi ambulansu, wyciągnął z niego ratownika i ciężko go pobił. Ratownik trafił do szpitala ze złamaniami kości twarzy.

W listopadzie tego roku zakończył się proces w sprawie incydentu z 2018 roku. Bydgoski Sąd Okręgowy skazał Matthew L., amerykańskiego filmowca, za napad na ratownika medyc-

nego i policjantów. Sąd podtrzymał wyrok pierwszej instancji, który zapadł w ubiegłym roku w Sądzie Rejonowym w Bydgoszczy. Od tego orzeczenia odwołał się wówczas poszkodowany ratownik medyczny. Ostatecznie Matthew L. ma zapłacić 75 tys. zł za brutalny atak, jakiego się dopuścił.

Do tego pamiętnego zdarzenia doszło podczas festiwalu filmowego Camerimage. Około 5 nad ranem w hotelu Holiday Inn w Bydgoszczy, gdzie artysta przebywał, wezwano pogotowie ratunkowe. Jak wykazało późniejsze badanie, miał on w organizmie prawie 3 promile alkoholu. Kiedy jeden z ratowników próbował zbadać mężczyznę, ten uderzył go w twarz. Poturbowany ratownik trafił do szpitala m.in. z ukruszonym zębem. Na miejsce wezwano następnie policję. Wtedy L. miał „naruszyć nietykalność funkcjonariusza publicznego”.

Proces trwał latami, na pewnym etapie - mimo zaostrzonych przepisów „pandemicz-

nych” - ambasada USA wydała zgodę na przyjazd adwokatów do Kalifornii, gdzie mieszkał oskarżony w ramach procedury specjalnej NIE (National Interest Exception). Sąd zgodził się na to. Problemy proceduralne sprawiły, że sprawa się przeciągała.

Ratownik, ale nie z serialu

Po ostatnich atakach zmieniło prawo. Teraz grozi za taką napad do 5 lat więzienia. Decyzją ministra zdrowia resort zakupił też kamizelki nożoodporne. Od nowego roku mają przypaść na każdy zespół ratownictwa medycznego. Władze WSPR w Bydgoszczy zakupią ich jednak więcej - tak aby każdy z personelu miał swój sprzęt.

To nie jest idealne rozwiązanie. Kamizelki chronią część korpusu, ale pachy, szyja, okolice obojczyków nie są osłonięte. - Kompromis między ochroną i komfortem noszenia - kwituje Bartek.

- Nie mogą krępować ruchów ratownikom w czasie akcji - dodaje Maciej.

Czy się sprawdzą? Na pewno zwiększą bezpieczeństwo. Jest tylko pewna obawa, czy widok takich „pancerzy” nie będzie prowokował.

Skąd w ogóle agresja wobec pracowników pogotowia? Dlaczego agresorami bywają osoby potrzebujące pomocy? Nie ma jednej odpowiedzi.

Kamil: - Żeby to zrozumieć, trzeba wyjść poza swoją perspektywę. Przede wszystkim ludzie niekoniecznie mogą chcieć pomocy ratowników, bo uważają, że nic im nie jest. Agresywny pacjent może mieć stany depresyjne, problemy osobiste, jakieś niepowodzenia finansowe, w pracy. Do tego dochodzi jeszcze wpływ alkoholu. Kiedy taki człowiek, który ma wiele na głowie i zaburzoną zdolność oceny sytuacji widzi jeszcze zespół pogotowia...

Właśnie, to dramaty, ale przychodzi na myśl znany

mem z cyklu: Oczekiwanie i rzeczywistość.

Maciej: - Jeśli masz skrzywione postrzeganie tego, kim są ratownicy, bo na przykład wyobrażasz sobie, że - jak w serialach - przyjeżdża zespół z lekarzem, operują cię na miejscu zdarzenia i takie cuda, wianki - a widzisz tych dwóch ratowników, którzy nie spełniają twoich oczekiwań - to wtedy to całe twoje napięcie emocjonalne może eksplodować pod wpływem tego niezadowolenia. Pacjenci bardzo dużo od nas oczekują. Myślą, że przekażemy ich zaraz na stół operacyjny, że wszystko przyspieszymy, załatwimy każdą konsultację. Od razu rezonans będzie zrobiony. A to tak nie jest. Tak się nie da. Zderzenie oczekiwań z rzeczywistością bywa trudne.

Kiedy „przydarzy się dziecko”

Padają pytania: „Czemu tak długo?”, „Po co pan o to pyta?” - A my zbieramy wywiad podstawowy. Nie znamy zazwyczaj przeszłości chorobowej człowieka, nie wiemy, jakie ma uczulenia na leki, jakie przyjmuje. Bez tej wiedzy moglibyśmy zaszkodzić. Mierzymy parametry życiowe. Musimy wiedzieć, z jakiego punktu zaczynamy i jak się zmienia stan pacjenta. I znów pytania: „Po co to ciśnienie?”, „Po co pan ten klips zakłada?”, „Nie możemy jechać już do szpitala?”, „No, po co to?”. Tak rośnie napięcie. My możemy próbować je obniżyć, wygasic te emocje, ale nie zawsze się udaje - opowiada Maciej.

Dzieci. Każdemu ratownikowi prędzej, czy później „trafia się dziecko”. Maciej tłumaczy, że jeden na taki wyjazd czeka 10 lat, innemu zdarzy się na samym początku, nawet na pierwszym dyżurze. Dzieci pozostawiają trwały ślad w pamięci każdego ratownika.



Ratownicy Kamil Lutowski i Bartosz Wiśniewski (po lewej) podczas rozmowy z Maciejem Czerniakiem

- Ja przeżyłem takie zdarzenie w pierwszym roku pracy - mówi Kamil. - Reanimacja. Dziewczynka miała chyba trzy lata. Kiedy przyjechaliliśmy na miejsce, już się przelewała ojcu na rękach. Zachłystowe zapalenie płuc. Długo o nią walczyliśmy, o jej życie. Niestety... została na miejscu.

Śmierć z dwóch perspektyw

W pokoju zapada cisza. Bombki, stroik, za oknem ciemność, za nią światło sączące się z sąsiedniego budynku, ze szpitala MSWiA w Bydgoszczy. Pijemy kawę, odzywa się alarm z tabletu w sąsiednim pokoju, poruszenie. Ratownicy wybierają, mają sześćdziesiąt sekund, by wyruszyć na zgłoszenie - jeżeli to jest kod 1., który oznacza pilny wyjazd na sygnałach.

Historia sprzed kilku lat: Wezwanie do potrącenia przez pociąg. Wiadomo tylko to, żadnych szczegółów. Na miejsce jedzie motoambulans, czyli motocykl ratunkowy. Jest też zespół na tzw. kołach, czyli podstawowy zespół ratownictwa medycznego z dwoma ratownikami. Widać tylko rozrzucone fragmenty ciała. - Nie było najmniejszej możliwości określenia płci, wieku. Nic - opowiada jeden z ratowników.

- Myślałem, że na tym się skończyła moja misja tego dnia. Na miejsce przyjechała policja, zajęła się sprawą. Wróciłem do bazy. Po około trzech godzinach dostałem wezwanie: „Osoba z zaburzeniami psychicznymi”. To jadę na miejsce, za miasto. Pani mówi, że nie może sobie poradzić z tym, co się dzisiaj wydarzyło. Okazało się, że córka skoczyła pod po-

ciąg. Poszła do szkoły, nie doszła do niej, ale właśnie na dworcowy peron i skoczyła. Nawet nie była pełnoletnia.

Na ścianach w domu zdjęcia, gdzieś tam rzeczy osobiste dziecka. - Dotarło do mnie, że to ta sama historia. To był dla mnie szok. Takie zdarzenie dwóch sytuacji, jedno życie, jeden wypadek, dwie perspektywy. Przecież byłem tam, by pomóc tej kobiecie. A sam też musiałem dźwigać ten ciężar.

Ciężar pamięci

- Zaraz mi się przypominają wszyscy po skokach z różnych pięter bloków - dodaje Kamil.

Ratownicy przeżywają traumę podobną do tej, z którą mierzą się maszyniści w pociągach. - Nie mogą skrócić, zareagować, nie mają wpływu na to, że ktoś się rzuca pod skład. Przy takiej prędko-

ści i tonażu, to jest kilkaset metrów hamowania.

- Jak stado saren albo dzików wejdzie na tory i nie spłoszy się od trąbienia, to tylko słysząc „pach, pach, pach” i widać rozbrzygi.

Ratownicy medyczni WSPR mają rocznie około 45 tysięcy interwencji. Tak naprawdę, trudno te wszystkie przypadki pamiętać. - Zapadają głębiej te, kiedy kogoś się udało albo kiedy nie udało się uratować. Kiedy ktoś zawdzięcza nam drugie życie. Przez ręce każdego z nas przechodzi kilka tysięcy osób.

Towarzysz ostatnich chwil

- Często zdarza mi się jeździć do pacjentów onkologicznych - mówi Maciej. - To osoby często u schyłku życia. Trzeba podejmować odważne decyzje,

kierować się dobrem pacjenta, rodziny. Jego prawem do godnego odchodzenia. Przejazd do szpitala to jest często dla nas najprostsze rozwiązanie - żeby kogoś po prostu zabrać. A sztuka polega na tym, żeby tego pacjenta dokładnie zbadać, zebrać wywiad, ocenić sytuację, zapoznać się z dokumentacją medyczną, poznać wolę pacjenta. Czasami to jest tak końcowy etap, że nie da się im pomóc. Można uśmierzyć ból, duszność, porozmawiać z nimi, spędzić trochę czasu w domu i tyle.

To są, jak mówi, bardzo delikatne wizyty. Jak rozmawiać z pacjentem o śmierci? Nikt ich, ratowników, na to nie przygotowuje.

Jeżeli rodzina widzi zaostrożenie problemu u swojego bliskiego oczekuje od pogotowia ratunku. Naszym zadaniem jest zawsze pomagać.

- A przecież tam, gdzie możliwości terapeutyczne są wyczerpane i można o tym przeczytać w wypisie szpitalnym, że pacjent jest zdyskwalifikowany z dalszego leczenia, no to my tak naprawdę jesteśmy w oczach pacjenta i rodziny ostatnią deską ratunku - podkreśla Maciej. - I ta nadzieja bywa odebrana. Jesteśmy tymi ludźmi, którzy powiedzą, że się już nie da nic zrobić i czas się po prostu pożegnać. To jest dla nas ogromne wyzwanie. Nie każdy potrafi na takie tematy rozmawiać. Trzeba być delikatnym, uważać na każde słowo. To są dla mnie pacjenci najtrudniejsi. Wiem, co to znaczy, bo sam pochowałem chorującego na nowotwór tatę i brata. Obaj zresztą byli lekarzami.

Jest kilkanaście minut po godzinie 21. Dzwoni tablet: „Niemowlę, trudności z oddychaniem”. Kod 1. Ratownicy mają tylko sześćdziesiąt sekund na wyjazd.

© P



Weekendowy wieczór w WSPR przy Markwarta 7 to czas częstych wyjazdów



Ratownicy w drodze - trzeba bardzo szybko - ale bezpiecznie! - dojechać na miejsce

20 ciągników, liczna obsada. Z rozmachem, choć bez grosza



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Krystian Sibiński, scenarzysta, reżyser i odtwórca głównej roli

Patryk Czerwiński
Powiat słupski

Krystian Sibiński, pracownik stacji paliw w Słupsku, w czasie wolnym kręci filmy. Jego najnowsza, amatorska produkcja to trzecia część cyklu „Świąteczna gorączka”. Film „Nie cicha noc” powstał głównie w Głównych przy udziale lokalnej społeczności i bez budżetu.

Krystian Sibiński w dzień Wigilii opublikował swój trzeci już film świąteczny pt. „Świąteczna gorączka: Nie cicha noc”. Główny wątek koncentruje się wokół historii chorego dziecka, które wymaga pilnego i kosztownego leczenia. Dzięki młodemu mężczyźnie, który na okres świąt zostaje Świętym Mikołajem, mieszkańcy, początkowo zabsorbowani własnymi przygotowaniami do

świąt, jednoczą się, by zorganizować zbiórkę społeczną. Akcja pomocowa, rozwijająca się w scenerii świątecznych dekoracji i zimowych plenerów Głównych, staje się głównym wydarzeniem napędzającym fabułę.

Trzecia część świątecznej trylogii

- Pomysł na film zrodził się w listopadzie. Od 2023 co roku



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Scena z 20 udekorowanymi świątecznie ciągnikami robi wrażenie

wydajemy, na naszym kanale YouTube, filmy z serii „Świąteczna gorączka”. W tym roku wydaliśmy część trzecią. W zamysłu miał być to skromny projekt, ale rozrósł się do większego - mówi Krystian Sibiński.

To on jest głównym inicjatorem projektu. Jak sam jednak podkreśla, bez pomocy innych osób przedsięwzięcie by się nie udało. Wymienia swojego brata Adama oraz kolegę Przemka Tandka, który aktywnie działa w lokalnej społeczności rolniczej.

Zdjęcia do filmu „Świąteczna gorączka: Nie cicha noc” kręcono głównie na terenie gminy Głównych. Kilka scen zrealizowano również w Słupsku. Proces przygotowania zajął twórcy około miesiąca. Obejmował on poszukiwanie lokacji, pisanie scenariusza oraz rekrutację osób chętnych do wystąpienia w amatorskiej produkcji.

Koszty? Zero złotych

- Kosztował nas w sumie tylko czas prywatny. Ja na przykład cały miesiąc poświęciłem na przygotowania do filmu. Takie jak np. lokacje, scenariusz, poszukanie ludzi, którzy chcieliby wystąpić w tym projekcie. Jedyny koszt

materialny poniesiony to paliwo do ciągników, ale ci dobrzy kierowcy przyjechali ze swojej dobrej woli - twierdzi Sibiński.

Emocje na planie i najtrudniejsza scena

- Uwielbiam robić takie rzeczy. Od dziecka kocham filmy, wychowałem się na „Terminatorze” czy komediach typu „Naga broń”. Emocje przy każdej scenie są dla mnie ogromne. Sto pytań, czy to się uda, czy wszystko będzie grać. Bardzo się stresowałem przy tym filmie, ponieważ chciałem zrobić go najlepiej, jak potrafię - dodaje Sibiński.

Za najtrudniejszą scenę do nagrania uznał tę z udziałem ponad 20 świątecznie przystrojonych maszyn rolniczych.

- Przy scenie do filmu, gdzie wystąpiło ponad 20 maszyn, czułem wielki stres. Pełno ludzi i ja jeden ze swoją wizją. Musiałem im to przekazać w jak najbardziej sensowny sposób. Całą noc nie spałem przed kręceniem tej sceny. Myślę, że koniec końców udało się.

Ludziom się spodobało

Pytany o ocenę gotowego filmu, odpowiada:

- Myślę, że każdy artysta który tworzy jakąś rzecz, powie że jest najlepszą na świecie i obiektywnie na nią nie spojrzę. Mnie osobiście bardzo się podoba. Odbiór ludzi jest bardzo dobry i mi to wystarczy.

Twórca otrzymał wraz z bratem wiele prywatnych wiadomości, a pod filmem na YouTube pojawiły się pozytywne, a nawet wręcz entuzjastyczne komentarze.

- Ja nie jestem profesjonalistą, tylko amatorem. Wystarczy spojrzeć na komentarz pod filmem na YouTube, jak fajny jest odbiór. Dostałem razem z bratem wiele wiadomości, że ludzie nawet wzruszyli się na końcu i wydaje mi się, że to jest jakiś sukces - twierdzi Sibiński.

Maraton filmowy w Głównych

Gmina Głównych przygotowała pokaz wszystkich trzech części filmu na dużym ekranie. Wydarzenie odbyło się 3 stycznia tego roku o godz. 17 w Gminnym Ośrodku Kultury w Głównych.

„Świąteczną gorączkę. Nie cicha noc” można obejrzeć na YouTube.
©©



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Pokaz filmowy w Głównych

Z Hollywood Północy do Szczecina. Powrót po 25 latach

Anna Brüske-Szypowska
MM Trendy Szczecin

Mówi się, że Vancouver to „Hollywood North”. A skoro tak, to w Szczecinie mamy swojego człowieka stamtąd. Piotr Biernat spędził w Kanadzie blisko 25 lat - grał i uczył na wydziałach aktorskich w Toronto, współpracował z teatrami ruchu w Kanadzie i Japonii, wystawiał własne choreografie na festiwalach, a także pojawiał się w międzynarodowych, wysokobudżetowych reklamach. Żył w rytmie kontraktów i podróży. Spotykamy się w Szczecinie, gdzie wrócił, by dołączyć do teatru dramatycznego.

Podobno miałeś być lekarzem... Co się stało, że wybrałeś scenę?

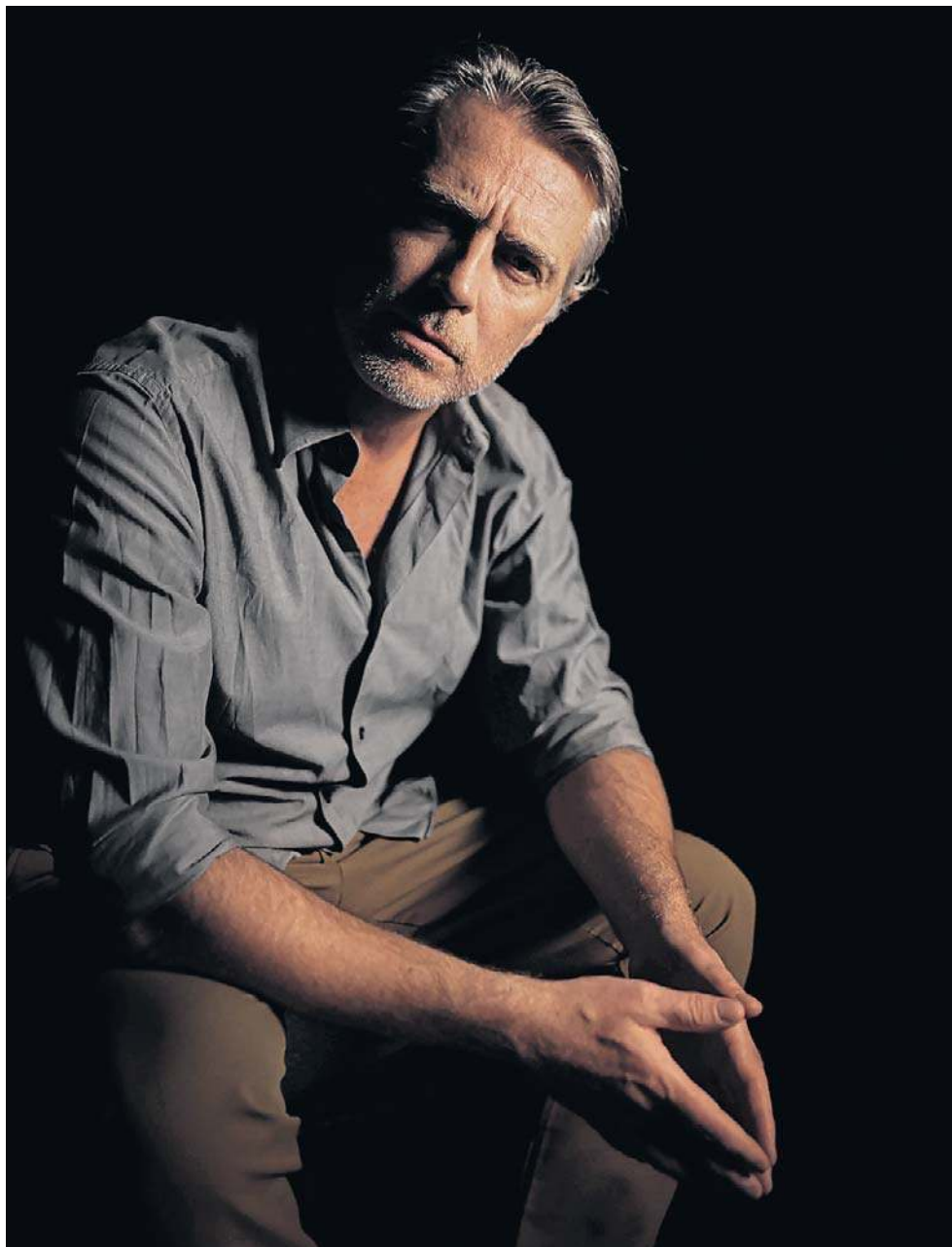
Byłem typowym ścisłym umysłem. Chciałem być lekarzem, ale w tym samym czasie był egzamin do szkoły teatralnej we Wrocławiu. Może dlatego, że byłem tak zdesperowany, to mnie przyjęli (śmiej). Na początku aktorstwo wydawało mi się pomyłką. Miałem momenty, że chciałem rzucić szkołę. I wtedy pojawiła się specjalizacja ruchowa - zajęcia z tańca. Ja, osoba, która nigdy nie miała nic do czynienia z tańcem, odkryłem, jak dobrze czuję się w niewerbalnym języku ciała. I to mnie uratowało.

Ruch cię uratował?

Tak. A później ten ruch dosłownie poprowadził mnie dalej. Pojechałem do Kanady na wakacje, z wizą w kieszeni. Trafiłem do szkoły tańca Anny Wyman w Vancouver (legenda tańca współczesnego w Kanadzie - przyp. red.). Po zajęciach powiedziała - masz smykałkę, zostań, załatwimy ci stypendium. I tak się zaczęło - pojechałem na wakacje, a zostałem 25 lat.

Jakie było twoje pierwsze zderzenie z Kanadą?

Szokiem było, jak inaczej się tam żyje - bliskość natury, duchowość, zdrowy styl życia. To, co jesz, jak oddychasz, z kim spędzasz czas - tam naprawdę ma znaczenie. Z językiem było różnie: mówiłem prosto i to działało. Ale im więcej rozumiałem, tym bardziej zaczynałem się bać, że popełniam błędy - i wtedy zaczęło być trudniej. A tymczasem moja mama, która nie mówiła po angielsku wcale, potrafiła w trakcie odwiedzin wyjść sama



FOT. MARCIN KAZMIERUK

w miasto, w kilka minut dogadać się z ludźmi i wracała z nowymi słówkami. To mnie nauczyło, że najważniejsze to się nie bać - odwaga i otwartość działają najlepiej. I to w sumie dobrze oddaje moje początki w Kanadzie, bo szybko wciągnąłem się w tamtejszy system pracy, który działa zupełnie inaczej niż w Polsce. Większość artystów, w tym ja, żyła bez etatu - na grantach, krótkich lub dłuższych kontraktach. Dzięki temu mogłem robić własne projekty, podróżować do Japonii czy Stanów z takimi grupami teatralnymi, jak m.in.: Danny Grossman Dance Theatre, CORPUS, Kahawi Dance Theatre, a gdy później przez kilka miesięcy nie było pracy, dorabiałem np. w cateringu i nikogo to nie dziwiło. Dawało to ogromną wolność, ale też uczyło elastyczności.

Gdy zestawisz to z polską rzeczywistością, jakie różnice były dla ciebie najbardziej odczuwalne?

W Polsce, żeby być artystą niezależnym, godzisz się na brak stabilizacji i ryzyko. Etat traktowany jest jako gwarancja, a gdy go tracisz, wszystko się wali. W Kanadzie to państwo tworzy system bezpieczeństwa, w Polsce ten ciężar spoczywa na jednostce. I to jest fundamentalna różnica. Tam każdy ma darmowe ubezpieczenie, więc ludzie nie myślą o tym, że muszą mieć pracę na etat, ponieważ potrzebują ubezpieczenia. Gdy studiowałem w School of Toronto Dance Theatre skreśliłem kolano, musiałem mieć operację. Pierwsza moja myśl brzmiała - Boże, muszę wrócić teraz do Polski, bo inaczej się nie da. Operacja kosztowała około 20 tys. dolarów i system

pokrył te koszty. A od dziekanów usłyszałem - super, to teraz ten semestr odpocznij.

Później sam zacząłeś uczyć na wydziałach aktorskich w Toronto. Widziałeś różnicę w procesie edukacji w Polsce i w Kanadzie?

Tak. To są dwa zupełnie różne światy. W Kanadzie jest cały system chroniący studentów i wykładowców przed mobbingiem czy przemocą. Jako pedagog byliśmy uczeni, jak się komunikować ze studentem, tak żeby ktoś się rozwinął, a nie żeby go złamać. A w polskiej szkole chodziło o to, żeby łamać. W Kanadzie nauczyciel jest dla ciebie - to jego praca, za którą student płaci, bo tam wszystkie studia są płatne. W Polsce, poza kilkoma profesorami, ja (jako uczeń - przyp. red.) nie wiedziałem, czego oni

w ogóle chcieli, o czym mówili. W Kanadzie dostałem syllabus, gdzie wszystkie zajęcia były opisane. I nauczyciel musiał wyjaśnić, o co chodzi - nie było czegoś takiego, że przyjdzie i powie - ale ja tego nie czuję. Tam przede wszystkim uczono metodami, dużo mówiło się o tym, że jest techniczny język dla aktorstwa, ruch dla budowania postaci, co jest bardzo ważne. Przecież ewolucja człowieka zaczyna się od ciała, zanim zaczniemy mówić, to się ruszamy. U nas jest to traktowane jak ta niechciana ciocia na urodzinach, a tam jest to podstawa.

Vancouver nazywane jest „Hollywoodem północy”. Faktycznie czułeś taki klimat? Jakie były twoje wrażenia z planów i castingów?

Tak, to było mocno odczuwalne. W Kanadzie funkcjonują związki zawodowe dla filmowców i aktorów teatralnych - i one jasno regulują stawki i zasady, co wpływa na etykę pracy. To daje poczucie bezpieczeństwa, bo wiesz, że idziesz na plan, gdzie masz dobrze zapłacone i pracujesz ze świetnymi ludźmi. Ale to też wymaga odpowiedniego nastawienia: jesteś punktualny, przygotowany, uśmiechnięty. Jeśli zawalisz, wypadasz z obiegu. W Polsce zdarzało się, że ktoś potrafił przyjść na plan „wczorajszy”. Tam byłoby to nie do pomyślenia - od razu straciłby pracę i został wykreślony ze związku. W Kanadzie masz poczucie, że jeśli jesteś na planie, to dlatego, że na to zapracowałeś - nie ma tu miejsca na załatwienie czegoś po znajomości.

A szczęście? To obok talentu i pracy ważny czynnik sukcesu...

Oczywiście, czasem szczęście pomaga. Przy reklamie McLarena pomogła mi znajomość akcentu nowozelandzkiego. Znam go dlatego, że mój dobry przyjaciel jest z Nowej Zelandii. Zartowałem z reżyserem i może to przechyliło szalę. Ale ostatecznie to castingi i twoja praca decydują. A ja lubię czuć, że zapracowałem na swoje miejsce. Czasem ktoś cię poleci, trafisz na właściwych ludzi, ale to tylko otwiera drzwi - dalej trzeba udowodnić, że się na to zasługuje. W Polsce budżety filmowo-reklamowe wciąż rosną, wraz z nimi rosną też wymagania, a razem z tym zmienia się etos pracy. Ale żeby nie było tak

pięknie - gdy wróciłem do kraju, przez pierwszy rok nie zrobiłem żadnej reklamy, choć chodziłem na castingi. Trzeba czasu, żeby ktoś ci zaufał.

Masz na koncie sporo reklam - i polskich, i zagranicznych. Poza McLarenem m.in. Pepsi.

Tak, robiłem wiele reklam międzynarodowych. Udało mi się zrobić dużą kampanię dla czekolady Lindt. Zdjęcia trwały trzy dni, przyleciała 18-osobowa ekipa z Francji, a ja miałem warsztaty z ich mistrzem czekolady, który uczył mnie mieszać pralinki, jakbym szykował się do konkursu cukierniczego. Do tego przymiarki, próby... A wszystko to „tylko” do reklamy. To było świetne doświadczenie. Po tym trochę odpuściłem granie w różnych epizodach serialowych. Zazwyczaj wpadasz tam na jeden dzień, zarobisz pieniądze, ale nic z tego nie wynika i niewiele to daje dla rozwoju osobistego. Zwłaszcza teraz, gdy gram bardzo różne role - czuję, że rosnę jako aktor dramatyczny, że mogę się rozwijać i znaleźć poczucie ciągłości. Tu uczyć się też od młodszych kolegów. Mam 53 lata, a ich energia mnie odmładza. To dla mnie powrót do bazy - do teatru dramatycznego, od którego zaczynałem, bo jestem absolwentem wydziału dramatycznego PWST.

A jak, mając takie geograficzne horyzonty, odnajdujesz Szczecin?

Pierwsze wrażenie, kiedy tu przyjechałem, było dokładnie takie samo jak w 1995 roku w Vancouver. Portowe miasto, bliskość wody, skala „w sam raz”. Nieprzeróżnięte, zielone. Z jednej strony teatr - ogromny, z wielkimi scenami. Z drugiej - sąsiedzi, którzy przynoszą jabłko i śliwkę z ogrodu „na poprawę humoru”. To jest niesamowite. I w tym spokoju znalazłem równowagę, której wcześniej brakowało mi w Warszawie, bo tam skierowałem się najpierw.

Jaką radę dałbyś młodym aktorom, którzy dziś zaczynają?

Korzystać z każdej okazji, nie bać się wyjeżdzać, próbować - nawet kosztem niestabilności. Rozwój osobisty jest ważniejszy niż „bezpieczny etat”. Ja zawsze myślałem sezonami - jak w szkole: zaczyna się we wrześniu, kończy w czerwcu. Każdy sezon jest inny, lepszy albo gorszy, ale zawsze zaczyna się na nowo. ©©

CZYTELNIA

Literatura sf. istniała już w XVII w.
za sprawą Cyrana o długim nosie

W Krakowie na Sławkowskiej jest Restauracja Cyrano de Bergerac, specjalizująca się w kuchni francuskiej. Niestety, ani do przepiórek w cieście, ani nawet do ostryg Fine De Claire nie dodają „Tamtego świata” Cyrana de Bergeraca (1619-1655). A mogliby, powieść wysła niedawno w PIW-ie.

Libertyn w kosmosie

Kim był ów Cyrano? A właściwie Hercule Savinien de Cyrano de Bergerac? Filozofem, który uważał się za „prawdziwego” kartezyjnistę, żołnierzem-zabijaką, bazarzem, libertynem, a przy tym pisarzem. I to dość niezwykłym – „Tamten świat” opowiada bowiem o podróży do państw Księżyca i Słońca. W XVII w. mogło to budzić zdumienie.

Zwłaszcza że autor daje się ponieść fantazji w tworzeniu i doborze argumentów. Książka jest pełna humoru, satyry i refleksji nad ludzką naturą oraz kosmosem, który bawi zarówno swoją formą, jak i treścią. Nikogo nie zdziwi, że na kartach powieści „kamienie czują, rośliny są obdarzone instynktem, a zwierzęta rozumieją”.

Ten przeklęty nos

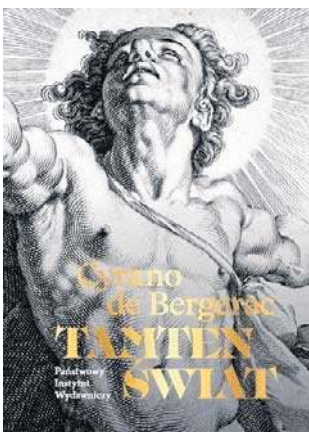
Przewrotna fortuna do spółki z niejakim Edmonema Rostandem, złośliwcem i autorem XIX-wiecznej sztuki teatralnej o Cyranie sprawili, że nasz bohater kojarzony jest z najdłuższym nosem w historii, dłuższym nawet od nosa Kleopatry. „Gdybym miał nos taki duży, wnet bym go sobie ściąć kazał do szczytu” – pokpiwają z Cyrana bohaterowie sztuki.

Nawet Kornel Makuszyński nie odmówił sobie ironii: „Sławny poeta, muzyk, fizyk i rębajło Sawiniusz Herkules Cyrano de Bergerac, właściciel największego nosa, jaki kiedykolwiek oglądano, tego nosa, o którym powiedziano, że idzie przed swoim właścicielem o kwadrans drogi i dla którego trzeba będzie po śmierci nosała osobny uśpakać kopiec. Jak wszyscy południowcy pan Gaston odznaczał się nie umęczoną ruchliwością ciała i kwiecistą barwnością stylu, przemawiał zaś równocześnie: ustami, oczami i rękoma; słowami migał jak szpada, przypominając owego Gaskończyka, który tak grzmiał w liście: »Piszę do ciebie trzymając pistolet w jednej ręce, a szablę w drugiej«”.

De Bergerac nieugięty

Nieco ciekawostek o życiu Bergeraca dorzuca Juliusz Kaden-Bandrowski. O nosie na szczęście nie dowcipkuje: „Pewnego dnia gdy wracał do domu spadła mu na głowę ciężka kłoda drzewa. Odniósł wskutek tego śmiertelną ranę, której już odtąd miał ulec. Rozeszła się nawet wieść, iż miał przyćmiony umysł.”

Czternaście miesięcy męczył się w domu jednego z licznych przyjaciół. Nie brakło tu pobożnych usiłowań, celem nawrócenia go, szczególnie ze strony pięknej krewnej Magdaleny Robineau, baronowej z Neuville, która po bohaterskim zgonie męża, podczas oblężenia Arras, przyoblekła szaty zakonne. Umarł Cyrano de Bergerac, zaledwie 36 lat licząc, w późnej jesieni 1655 r.”. **grab**



Cyrano de Bergerac,
„Tamten świat”,
wyd. PIW,
Warszawa 2025,
cena 65 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

KATARZYNA ZILLMAN

Zatańczyła
na rurze

Udział polskiej wioślarki w parze z Janją Lesar w ostatniej edycji „Tańca z gwiazdami” wzbudził ogromną sensację. Tym większą, że po programie medalistka olimpijska rozstała się z ukochaną, Julią Walczak, a tancerka ze swym wieloletnim partnerem Krzysztofem Hulbojem. Zaczęto więc coraz głośniej mówić, że Zillman i Lesar są parą. Obie panie wydają się podsycać te plotki. W miniony wtorek wrzuciły do internetu relację ze wspólnego wypadu na trening tańca na rurze. Tancerka i wioślarka próbowały swoich sił pod czujnym okiem instruktorki oraz dopingowały się wzajemnie zza kadru. „I teraz co z tym zrobić?” – zapytała na koniec Lesar fanów.

HELENA ENGLERT

Nie potrzebuje
Oscara

W najnowszym wywiadzie dla podcastu „Pierwsza randka” młoda aktorka wróciła do czasów, kiedy wybrała się na kurs do USA. Początkowo planowała zostać za oceanem na dłużej, aby tam spróbować zaistnieć, ale szybko porzuciła te plany. – Zdałam sobie sprawę, że przez pół roku w Stanach nie odbyłam ani jednej wartościowej rozmowy, która wykraczałaby poza „Hi, how are you? Oh my God, you look so amazing. Whatever”. I że ja nic nie przeczytałam, niczego się nie dowiedziałam i że nie tęsknię za nikim, kogo tam poznałam. Po prostu to chyba nie tędy droga, bo ja jestem tu szczęśliwsza. I że po co mi ten Oscar? W sensie jakby w ogóle o tym nie jest życie.

DAWID KWIATKOWSKI

Plakał
w garderobie

Podczas niedawnego „Sylwestra z Dwójką” piosenkarz świętował trzydzieste urodziny. Był tort na scenie i wspólne śpiewanie „Sto lat”. Tym bardziej fanów wokalisty zaskoczył wpis, jaki wrzucił w miniony wtorek na Instagram. Na zamieszczonym zdjęciu widać, jak siedzi w garderobie „Sylwestra z Dwójką” i zakrywa dłońmi twarz. Pod fotografią widniał podpis: „Placz



Celebrytka podróżuje obecnie z Rafałem Brzóska
wzdłuż Afryki i nawet... posprzątała tam plażę

chłopie w tej garderobie ile wlezie. Tyle lat nie potrafiłeś tego robić, aż w końcu się nauczyłeś, a raczej nauczono cię, gdy leżałeś na kozetce. Całe dzieciństwo w gotowości, w śpięciu, uciekać albo walczyć. I tak się zbierało wszystko, bez jakiegokolwiek ujęcia. A człowiek błędnego pojęcia nie miał, że można. Placzmy, kiedy się chce. Żeby się kiedyś nie przelało”.

OMENAA MENSAH

Sprzątała plażę

Celebrytka podróżuje obecnie z Rafałem Brzóska wzdłuż Afryki, skrzętnie dokumentując swoją wędrówkę w social mediach. W jednym z ostatnich wpisów Mensah zwróciła uwagę na to, że turyści i mieszkańcy Czarnego Łądu nie dbają o ekologię. „To, co mnie bardzo często przeraża w trakcie różnych podróży, to że na wielu plażach, zarówno Afryki, jak i Azji, można zobaczyć takie śmieci, których się nie spodziewamy. Uwaga, tu znalazłam kask – to jest taki minikask dla dzieci, zabawka. No właśnie, edukacja, edukacja, ale cóż... Zbieram, zanoszę. O, grzebień. Trzeba naprawdę zacząć o tym wszystkim myśleć w takich kategoriach, że takie śmieci tu nie powinny być” – stwierdziła.

AGNIESZKA HYŻY

Wylała wiele łez

Podczas niedawnego wypadu na Malediwy prezenterka urządziła instagramową zabawę w pytania i odpowiedzi

z fanami. Kiedy pogratulowano jej udanego związku z Grzegorzem Hyżym, wyznała, że miewali różne kryzysy. „Odbyliśmy wiele trudnych rozmów. Wylaliśmy wiele łez, często w pojedynkę w poduszkę. Tego po prostu nie widać na Instagramie, co nie oznacza, że nie istnieje w prawdziwym życiu. Z szacunku do siebie nawzajem nie wywlekamy takich tematów publicznie, bo po co i na co? Ale nie można też udawać i wciskać ludziom kitu, że od 12 lat jesteśmy w sobie nieustannie zakochani, nie mamy żadnych trosk ani problemów, nigdy się nie kłócimy i że generalnie panuje u nas wieczna idylla” – napisała.

JOANNA KRUPA

Znalazła męża

Ostatnio modelka ogłosiła, że zamierza zbudować swój własny biznes, a jego bazą mają być produkty skierowane do kobiet. Na początek zdecydowała się wejść we współpracę z jedną z popularnych marek i przygotowała autorską kolekcję rajstop. Na Instagramie celebrytka pojawiło się wideo zza kulis sesji, podczas której pozowała w owych rajstopach i lakierowanych kozakach. Muzyczny podkład stanowiła piosenka z refrenem „Where Is My Husband?”, czyli „Gdzie jest mój mąż?”. Jakby w odpowiedzi na to pytanie Krupa podpisała nagranie: „Nie szukam męża, po prostu podążam za trendem. Mój mąż to moja praca, moja kariera i szczerze mówiąc... świetna para rajstop”.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Energia sprzyja działaniu, ale zachowaj umiar. Horoskop dzienny zapowiada, że krótka rozmowa przyniesie inspirację oraz spokój.

Ryby (19.02 - 20.03)

Skup się na porządkach. Horoskop na dziś mówi, że mały sukces doda Ci pewności, a wieczór sprzyja relaksowi.

Baran (21.03 - 19.04)

Dzień sprzyja aktywności. Horoskop dzienny na piątek mówi, że odważna decyzja przyniesie postęp, ale pamiętaj też o odpoczynku.

Byk (20.04 - 20.05)

Spokój i konsekwencja pomogą dziś rozwiązać drobną sprawę. Horoskop dzienny radzi zaufać intuicji.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)

Rozmowa otworzy nowe możliwości, ale horoskop na dziś sugeruje, by nie obiecywać zbyt wiele nikomu.

Rak (22.06 - 22.07)

Emocje będą silne, lecz horoskop dzienny na piątek zapowiada, że szczerosc wobec bliskich przyniesie ulgę i poczucie bezpieczeństwa.

Lew (23.07 - 22.08)

Twoja pewność siebie będzie przyciągać uwagę. Horoskop dzienny radzi wykonać dzień na twórcze działania i planowanie.

Panna (23.08 - 22.09)

Porządek w myślach pomoże uniknąć nieporozumień. Horoskop na dziś zapowiada, że drobny gest poprawi relacje z innymi osobami.

Waga (23.09 - 22.10)

Harmonia jest w zasięgu ręki. Horoskop dzienny na piątek to wskazówka, by wygospodarować czas na rozmowę i zadbać o własne potrzeby.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Intensywny dzień sprzyja przełomom. Horoskop dzienny radzi zachować dyskrekcję i działać spokojnie.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Obowiązki wymagają skupienia, lecz wysiłek zostanie doceniony. Horoskop na dziś zapowiada, że wieczór będzie sprzyjał regeneracji.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Nieszablonowe pomysły spotkają się z zainteresowaniem. Horoskop dzienny na piątek wróży, że współpraca przyniesie korzyści.

polski serial medyczny		naszywka na mundurze		stolica Albanii		M-1 rudego ssaka		drapieżna mucha		model Poloneza		popularna na Śląsku gra w karty		świętynia bud-dyjska		niesta-ranne pismo		jedzie w peletonie		wsad do martena		długowłosa	
najwyższe francuskie odznaczenie		kwiat Nilu		udaje towar		smar maszynowy		cudza nie boli		w parze z opierunkiem		odmiana jabłoni		grecka kraina historyczna		bagien-na mgła		rywal Wilka z „Krzyżaków”		jedno-stka masy			
autko na torze dawna moneta						silna lub ostatnia				fryzura punka						11							
				25		część nogi		9		brazylijski taniec		polska ciężarówka				herba-ciany stan w Indiach							
w portfelu Czecha						budowla bobrów		pan z kara-belą		„... nr 1”, film z rolą Karola Stras-burgera		ułatwia przele-wanie cieczy		efekt braku zajęcia		lek dla słabe-usza		płasko-wyż w Andach				Sokra-tes lub Platon	
kieliszek wódki		święty byk Egipcjan		miecz-nik w oceanie		Madryt lub Oslo																	
szlam						miękka tkanina jed-wabna		odgłos morza				kabaret z Zielonej Góry						Beauforta lub Celsjusza		duże jezioro w Rosji			
grube włókno lniane						niebieski lub stalowy				ubóstwo, niedo-statek						najstar-szy w rodzinie							
		29				8		boczna część świą-tyni				ptak dra-pieżny						filmowy Obywatel lokum dla Opla					
sztuczne włókno						Paul, aktor z USA		artre-tyczna dolegli-wość								przybudówka							
stop żelaza z węglem		mar-cinek w ogrodzie		metal, dodatek stopowy gobelin												kamień ozdobny		najemny robotnik				6	
						10														rzeka jak ssak		prze-bieg debaty	
dawny Arab								1												uczeń szkoły woj-skowej		arabski książę	
pokarm																							
jadło kilka parafii		tumak lub kamion-ka		24		pole dzia-łania		imię Turner, piosen-karki								mieszana w tenisie		miejsce zebrania ma-sonów		powieść Emila Zoli		druga zerdź	
dawni Ros-jań																						15	
dawny ubiór męski		zjazd organi-zacji		kra-wiecka taśma		2		stroma, skaliste wy-brzeże								odmiana gipsu							
										atomowa wielki ssak morski		pani magi-ster		bukietowy dodatek		dozow-nik leku lub kos-metyku		roślina zarod-nikowa		polskie miasto dywa-nów		22	
instru-ment smycz-kowy		organicz-ne związki che-miczne		pocisk z głowicą bojową				wigi-lijna ryba				27		ptak drapieżny żywią-cy się padliną		31		wierszo-wana zagadka		7			
						30						wzór, model mąż Ba-ladyny				32		swoboda w zacho-waniu		33			
odkryta we-randa						13		trunek z Nipponu						zięć Mało-meta				Julia Roberts miasto w Japonii					
lud z Rwandy		konku-rent Bolta		komedia Zapol-skiej				czapka francuskiego żołnierza		nie po-słuchał rady Dedala						groźny nar-kotyk				groźna przepowiednia, znak		grecka bogini nie-zgody	
								oficer-ska w wojsku						grecki bohater spod Troi				hala sporto-wa w Ka-towicach					
Bq dla fizyka szczyt „nieba”				26						4		grono przy-jaciół		21		umiara w zacho-waniu				tkanina na szaty litur-giczne			
						14		spływa z gór								kobięcy wdzięk				miasto w Lubu-skiem			
wysu-nięta część fasady										okucie żeglarskie						Wielka Kora-lowia				12		polski mi-krobus	

REKLAMA

0010990366

GŁOS

w prenumeracie z Tele Magazynem

📞 94 340 11 14

SŁOWNIK: ARGOLIDA, ARARAT, NAFTENY, RYZALIT, SELENT, TUTSI.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 33 utworzą rozwiązanie – aforyzm Krzysztofa Bilicy.

ROZWIĄZANIE: W WALCE Z ZACOFANIEM WCIAŻ BRAK POSTĘPU.

Na Wielkiej Krokwi fani skoków podziękują Kamilowi Stochowi

Artur Bogacki
artur.bogacki@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. W sobotę i niedzielę w Zakopanem odbędą się konkursy PŚ. Dla Kamila Stocha ma to być ostatni występ w prestiżowym cyklu na Wielkiej Krokwi.

Zakopane w historii polskich skoków to miejsce wyjątkowe i symboliczne. Po latach sukcesów Adam Małysz w 2011 r. odniósł tam ostatnie zwycięstwo w karierze. W tej samej edycji swój pierwszy triumf święcił młody wówczas Kamil Stoch, co było pierwszym znaczącym krokiem do niesamowitej kariery.

Piętnaście lat później Stoch po raz ostatni wystąpi na Wielkiej Krokwi. Latem zapowiedział, że po tym sezonie kończy karierę. Zawody w sobotę i niedzielę będą więc jego pożegnaniem z Zakopanem. Dla kibiców to okazja, aby po raz ostatnim go dopingować i podziękować mu za wiele pięknych lat,



Kamil Stoch w Zakopanem wygrał pięć konkursów indywidualnych, raz był trzeci. Pod względem liczby zwycięstw dorównuje mu tylko Austriak Gregor Schlierenzauer

obfitujących w emocje i sukcesy. W tym sezonie prezentuje w miarę równą formę, lecz pułap osiągnięć to druga dziesiątka, najlepsze było 12. miejsce. Co nie znaczy, że na „swojej” skoczni

nie będzie w stanie poprawić tego wyniku. No bo jak pożegnać się z kibicami w Polsce, to najlepiej z przytupem.

Nie zmienia to faktu, że niewielej szans na sukces wypada

przyznać komuś innemu z naszej kadry. W tym sezonie liderem reprezentacji jest Kacper Tomasiak. Debiutujący w PŚ 19-latek w klasyfikacji generalnej jest 11., punktował niemal we

wszystkich startach, zajmował miejsca w czołowej „10” (najlepszy rezultat to 5. lokata). Na taki powiew świeżości nasze skoki długo czekały. A nawiązując jeszcze do „magii Zakopanego”, może na Wielkiej Krokwi nastąpi kolejne symboliczne przekazanie pałeczki – w ostatnim konkursie Stoch w tym miejscu swoje pierwsze podium może wywalczyć Tomasiak. A byłoby to coś niesamowitego, gdyby na nim stanęli obok siebie!

Ostatni raz na „pudle” w PŚ w Zakopanem był Dawid Kubacki (2. w 2023 r.). Teraz jeszcze musi walczyć o miejsce w kadrze na te zawody. Wystąpić może pięciu naszych skoczków, a trener Maciek Maciusiak wcześniej ogłosił, że skład najprawdopodobniej poda dopiero po piątkowych treningach. Pewniakami raczej są Tomasiak, Stoch i Maciej Kot, najrówniej ostatnio skaczący nasi zawodnicy. Poprzednio w PŚ startowali Kubacki i Paweł Wąsek, a zastąpić któregoś z nich może Piotr Żyła, odesłany

w trakcie Turnieju Czterech Skoczni do kraju na treningi.

Listę faworytów do zwycięstwa w Zakopanem otwiera Domen Prevc. Słoweńiec w tym sezonie jest bezapelacyjną gwiazdą. Od dawna prowadzi w klasyfikacji Pucharu Świata, sukcesywnie powiększa przewagę. Z 15 rozegranych konkursów indywidualnych tylko w dwóch nie był na podium (jeszcze w listopadzie, na początku cyklu). Odnosił już 7 zwycięstw, w tym 5 z rzędu, a niektóre z nich były bardzo wyraźne.

W Zakopanem Prevc nie będzie miał kilku mocnych rywali. Ze startu zrezygnowali choćby Japończycy Ryoyu Kobayashi i Ren Nikaido, czy Austriacy Daniel Tschofenig i Stefan Kraft. Postanowili skupić się na przygotowaniach do kolejnych zawodów.

Program PŚ w Zakopanem. Sobota: 12 - sesja treningowa, 14:15 - kwalifikacje do konkursu indywidualnego, 16:10 - konkurs duetów (superteam), **niedziela:** 15 - seria próbna, 16 - konkurs indywidualny. ©

Hurkacz i Świątek pełni wiary przed ćwierćfinałem United Cup

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

W dwóch ostatnich edycjach United Cup Polsce brakowało jednego zwycięstwa do zdobycia trofeum. Iga Świątek i Hubert Hurkacz są sercem i duszą reprezentacji od początku turnieju.

W 2023 roku Polska przegrała w półfinale z USA, a w dwóch kolejnych latach dotarła do finału. Mecze o tytuł przegrała, kolejno, z Niemcami i USA.

W środę duet Iga Świątek i Hubert Hurkacz z powodzeniem doprowadził Polskę do fazy pucharowej, w której w ćwierćfinale zmierzy się z gospodarzami turnieju – Australią.

Fazę grupową obecnej edycji Biało-Czerwoni przeszli w świetnym stylu, wygrywając po 3:0 z Niemcami i Holandią. Dużą w tym zasługą Hurkacza, który w Sydney wrócił po ponadpółrocznej przerwie spowodowanej kontuzją kolana.

– Nie wiedziałem, czego się po sobie tutaj spodziewać. Oczywiście, generalnie oczekujemy wiele, ale rzeczywistość mogła okazać się inna. Wiedziałem, że jestem gotowy. Nadal jednak potrzebuję czasu, żeby się poprawić i rozwinąć –

powiedział „Hubi” po awansie do ćwierćfinału.

Po tym, jak Hurkacz potwierdził swoje zwycięstwo nad Alexandrem Zverevem w swoim powrocie do rozgrywek ATP, pokonując Holendra Tallona Griekspoor’a i oficjalnie zapewniając sobie awans jako zwycięzca grupy F, Iga Świątek z łatwością pokonała Suzan Lamens w dwóch setach.

– Byłam bardziej precyzyjna w pracy nóg. Myślę więc, że to była poprawa w porównaniu z poprzednim meczem. „Hubi” również zagrał niesamowicie, więc mogłam wyjść na kort z dużą pewnością siebie, bo on już w pewnym sensie wprowadził nas do ćwierćfinału. Mogłam po prostu grać swobodnie – oceniła druga rakietka świata.

Gospodarze czekają w ćwierćfinałach, a Alex de Minaur zapewni Hurkaczowi kolejną szansę sprawdzenia się z rywalem z pierwszej dziesiątki w jego pierwszym występie od czasu operacji prawego kolana w lipcu ubiegłego roku.

– Prawdopodobnie jest blisko, a może nawet najwyższej w rankingu, jaki kiedykolwiek miał. Jest naprawdę szybki, porusza się po korcie niesamowicie dobrze. To będzie więc dobre wyzwanie, zwłaszcza przed australijską publicznością.



Hubert Hurkacz i Iga Świątek po wygranych meczach w grupie z Niemcami i Holandią poprowadzą reprezentację Polski w meczu ćwierćfinałowym United Cup z Australią

ścią. Będzie świetna zabawa i nie mogę się doczekać meczu – powiedział Hurkacz, który ma bilans 1-2 z De Minaurem.

Z dwoma zawodnikami z czołowej dziesiątki rankingu na jednym turnieju Hurkacz wygrał ostatnio w 2022 roku w Halle. Wówczas w ćwierćfinale pokonał dziewiątego Kanadyjczyka Felixa Augera-Aliassime’a, a w finale lidera zestawienia Rosjanina Daniila Miedwediewa.

Świątek miała na razie teoretycznie słabsze rywalki, ale 39. w rankingu Niemka Eva Lys sprawiła jej sporo problemów. Ostatecznie Polka wygrała 3:6, 6:3, 6:4. Holenderkę Suzan Lamens (97. WTA) pokonała natomiast 6:3, 6:2.

W piątek Iga rozpocznie spotkanie z Mayą Joint, 19-letnią australijską tenisistką numer 1.

W 2025 roku Joint zdobyła dwa tytuły WTA i awansowała

na 32. miejsce w rankingu, jako jedna z wielolu debutantek w swojej karierze. Z powodu choroby nie brała udziału w meczu otwarcia Australii z Norwegią, a we wtorek przegrała w swoim debiucie w 2026 roku z Czeszką Barborą Krejčíkovą.

Wspominając podobny moment swojej kariery, Świątek stwierdziła, że nigdy nie uważała się za wschodzącą gwiazdę, czekając na przeło-

nowy moment jako mistrzyni Rolanda Garrosa w 2020 roku.

– Po prostu (starałam się) grać jak najlepiej, będąc outsiderką. Szczepie mówiąc, to była niezła zabawa. Tęsknię za tamtymi czasami. Pamiętam, jak grałam przeciwko Ash (Barty). Czułam, jak dobra jest, kiedy była numerem jeden i tak solidna. Naprawdę mnie zainspirowała. Bycie outsiderem i bycie wschodzącą gwiazdą z tą świeżością, którą w sobie nosisz, to wspaniałe uczucie. To moment, w którym najbardziej poprawiasz swoją grę – wspominała sześciokrotna triumfatorka Wielkiego Szlema.

Świątek uważa, że Joint jak dotąd „radzi sobie świetnie”. Mimo „ceni sobie jej inteligencję i skromność, 24-latkę ma jednak w Sydney sprawy do załatwienia.

– Życzę jej wszystkiego najlepszego, ale nie za dwa dni – powiedziała z uśmiechem Iga.

Mecz rozpocznie się o godz. 7.30 czasu polskiego od pojedynku Świątek z Joint. Po nich na kort wyjdą Hurkacz i de Minaur, a na zakończenie rozegrany zostanie mikst.

Na zwycięzców tego ćwierćfinału czekają już brońcy tytułu Amerykanie. W drugim półfinale Szwajcaria zagra z Belgią. ©

Dawid Szwarga: Nie chcę zabrać siekiery i wygrać mecz przez walkę

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Rozmowa z Dawidem Szwargą, trenerem piłkarzy Arki Gdynia, specjalnie dla „Dziennika Bałtyckiego”.

Jak minęły święta? Udało się odpocząć i zresetować po trudnej rundzie jesiennej? Udało się naładować baterie i taki był mój cel. Mogłem wrócić na Śląsk i zobaczyć się z bliskimi, spędzić więcej czasu razem. A teraz mogę przystąpić do przygotowań do rundy z entuzjazmem i radością.

Arka jest o jeden punkt nad strefą spadkową. Udał się pan na ten urlop z satysfakcją i poczuciem spełnienia zadania na rundę jesienną czy jednak z pewnym niepokojem patrząc na tabelę PKO Ekstraklasy?

Niepokoje może towarzyszyć nam dość długo, bo tabela jest płaska. Na tyle, że dwie czy trzy wygrane z rzędu - czego w poprzedniej rundzie nie zrobiliśmy - mogą nie wystarczyć, żeby oddalić się od strefy spadkowej. Nie powiem, że runda jesienna była udana, bo wysokie porażki czy bilans wyjazdowy, są na to za słabe. Wiemy, że kilka meczów zagraliśmy na wysokim poziomie. Musimy uzyskać powtarzalność w rundzie rewanżowej i wtedy będziemy w stanie wygrywać seryjnie, a nie tylko incydentalnie.

Zadbał pan o to, żeby jesienią nudy nie było. A to sprawa z dronem przed sezonem, to porównanie transferów Widzewa do zakupu sauny czy konieczność inwestycji, kiedy o byt walczy się z Legią. Z ciekawieniem można czekać na konferencje prasowe z pana udziałem.

Wracając do Widzewa i sauny, to była moja odpowiedź na pytanie, dlaczego tak słabo zagraliśmy. Miałem zupełnie inne odczucie co do przebiegu meczu i naszej postawy, którą oceniłem - mimo wyniku - pozytywnie i to pomimo różnicy w budżetach, co chciałem pokazać bardziej obrazowo. Wiem, że nie było to szczególnie sformułowanie. Ostatnia moja wypowiedź, to budowanie świadomości wokół wszystkich osób zaangażowanych w Arkę. To środowisko jest duże, a będzie jeszcze więk-

sze. Nasza Ekstraklasa jest bardzo wyrównana. Największą różnicą między innymi ligami na podobnym poziomie, czyli z czeską czy austriacką, to że zespół 11-12 w tabeli może rywalizować o transfer piłkarza z mistrzem Polski. To się nie dzieje w innych ligach. W dobrej wierze naciskałem na klub, żeby zrobić wszystko, aby jak najlepiej się przygotować. Trzeba inwestować w przygotowania, sztab i piłkarzy.

Mocno dąży pan do jak największego profesjonalizmu, ale w osobach właściciela Marcina Gruchały czy prezesa Wojciecha Pertkiewicza ma pan wsparcie?

Postawa właściciela, prezesa i dyrektora sportowego doprowadziła do tego, że dalej współpracujemy pomimo trudności. Wzajemnie sobie ufamy i wierzymy, że dopłyniemy z Arką do kolejnego sezonu pozostając w Ekstraklasie. Gdybym nie czuł wsparcia i zaufania, to pewnie wiara by się skończyła, a bez niej ciężko o dobrą pracę.

Za to na koniec rundy już pan całkowicie podpalił mówiąc o możliwości odejścia. To były realne przemyślenia czy chciał pan na coś konkretnego zwrócić uwagę?

Nałożyło się trochę tematów, w tym osobiste, które miały wówczas wpływ na moją sytuację. Udało się je rozwiązać, a rozmowy z właścicielem i prezesem pomogły w określeniu priorytetów. Co do moich wyrażonych oczekiwań, wciąż są podobne, gdy zaczynałem pracę w Arce. Uważam, że musi być wiara w projekt i jasne reguły, żeby cel został osiągnięty. A to jest kluczowe, że żeby wziąć dużą odpowiedzialność jaką jest prowadzenie klubu. Za sukces bądź porażkę rozliczony będzie trener i ja się z tym zgadzam, ale żeby tak było, to trzeba mieć zaplecze infrastrukturalne i sportowe, żeby wyznaczone cele realizować. Jeśli czułbym, że to nie jest możliwe do spełnienia, to nasza współpraca mogłaby się potoczyć w innym kierunku. Czuję wsparcie zarządu i razem uznaliśmy, że dalsza współpraca to najlepsza opcja dla Arki.

Pamiętam naszą rozmowę przed sezonem i mówił pan, że chce wypełnić kontrakt w Arce, a nawet zostać dłużej, bo podoba się w Gdyni panu



Dawid Szwarga, trener Arki Gdynia, chce nadążyć za pociągiem jadącym w kierunku zmian w futbolu

i pana partnerce. Te słowa nie straciły aktualności?

Absolutnie nie straciły. Arka ma olbrzymi potencjał, który jeszcze nie jest wykorzystany. Jeśli klub będzie pracować systemowo przez 5-7 lat, to jest mnóstwo rzeczy, które da większą stabilność i będzie jeszcze lepszy. Miasto jest fantastyczne do życia i nie da się ukryć, że pomaga przy transferach.

Zwróciłem uwagę na jeszcze jedno pana słowa z konferencji prasowej, które dotyczyły pytania o jedną z przepychanek między zawodnikami. Powiedział pan, że w futbolu nie zawsze gra się fair. Może to pan rozwinąć?

Mind games (gry umysłowe - przyp. red.) - powiedziałbym tak z języka angielskiego. To są rzeczy, które dzieją się na całym świecie i w różnych dyscyplinach. Zawsze byłem fanem Michaela Jordana i w jego czasach dochodziło do różnych sztuczek i zagrywek, które miały pozwolić wygrać. To jest część gry. W dzisiejszych czasach, kiedy mówimy o najbardziej znanych trenerach na świecie, to nie są tylko dobrzy dzięki taktyce i kompetencjom miękkim, ale też za pomocą umiejętności wpływania na przeciwnika poprzez wypowiedzi czy działania poza boiskiem.

Pragmatyzm i odpowiedzialność czy widowiskowość?

To się nie wyklucza. Pragmatyzmem i odpowiedzialnością

chcemy się cechować w konkretnych strefach boiska, jak na przykład stałe fragmenty w defensywie. Trzeba znać rolę, ustawienie i miejsce. Na widowiskowość jest miejsce blisko bramki przeciwnika zwłaszcza w działaniach z piłką. Najlepsi piłkarze na świecie potrafią to połączyć.

Pytam, bo jak się pan czuje słysząc słowa, że jako wychowanek Marka Papszuna stawia pan na defensywę, a nie na futbol, który przyciąga atrakcyjnością? Jaka jest wizja Dawida Szwargi?

Zacznijmy od tego, że nie jestem wychowankiem Marka Papszuna, bo moja wizja zaczęła się od współpracy z Tomkiem Włodarkiem i organizacją Soccer Services. Zajmowała się szkoleniem w Barcelonie, miała mocny wpływ na piłkę hiszpańską, a potem akademię PSG. Byłem fanem Barcelony. Pamiętam mecze z Rivaldo, Cocu, Kluivertem, braćmi de Boer, mogę wymieć całą jedenastkę. Nie jest moją tożsamością, żeby zabrać siekiere i wygrać mecz przez walkę. W którą stronę zmierza futbol? Oglądałem mecz Bournemouth - Arsenal. I Arsenal,

Jak chcesz być stabilny emocjonalnie, to musisz pewne opinie traktować jak spam. Wyrzucasz to do kosza - mówi Dawid Szwarga.

który jest wart ponad miliard funtów, wygrał przez fazy przejściowe i stałe fragmenty. Arsenal prowadzony przez Mikela Artetę, Hiszpana, ma największe strzelonych goli ze stałych fragmentów gry. Futbol trochę się zmienił w grę szybką, bezpośrednią, z kontrami, stałymi fragmentami, na dużej intensywności. I albo jako trener wsiądziesz do pociągu jadącego w tym kierunku i nadążysz albo zostaniesz w wizji piłki nożnej z przeszłości, która już nie jest aktualna.

Można było jednak odnieść wrażenie, choćby w derbach z Lechią w Gdańsku, że chciał pan zabić mecz, żeby wywieźć chociaż jeden punkt.

To nie było nasze założenie na derby. To, że nie potrafiliśmy się utrzymać przy piłce dłużej na połowie przeciwnika wynikało z naszych umiejętności i z tego, w jaki sposób zneutralizował nas rywal. Obie drużyny, zwłaszcza w drugiej połowie, grały słabo z piłką. Wygrał zespół lepszy o detal. Takie mecze się zdarzają. To przecież nie jest założenie, że stoimy i się bronimy. Trzeba pamiętać o jakości i dobrym planie przeciwnika, jak nam odbierać piłkę albo o naszym słabszym dniu bez powtarzalności w ataku.

Brak zwycięstwa na wyjeździe i najmniej strzelonych goli. Śniło się to panu po nocach?

Bardziej nie mogłem przez to zasnąć. To elementy, które musimy poprawić, żeby być lepszym zespołem w tych aspektach. Konsekwentna, codzienna i systematyczna praca u podstaw może nam pomóc zmienić sytuację. Kolejny krok, to musimy i chcemy prezentować się lepiej w meczach wyjazdowych.

To wszystko wiązało się z krytyką ze strony kibiców. Przeglądał pan wpisy w internecie?

Nie przeglądam mediów społecznościowych. Robi to jednak rodzina i najbliżsi, a potem dostarczają mi komentarze przez zrzuty ekranu. To mnie nie zaskakuje. Hejt biore na siebie. Jak ktoś chce krytykować, to ja jestem odpowiedzialny za wyniki. Jak ktoś chce po prostu wyrzucić swoje żale i poczuć się lepiej, to też niech użyje mojej osoby.

Jak grubą trzeba mieć skórę, żeby być nie tylko trenerem Arki, ale w ogóle szkoleniowcem w piłce nożnej?

Hejt jest dzisiaj nie tylko przy futbolu. Łatwość oceny, przypinania łatki, kwestionowania, a czasami obrażania jest ogromna. To powszednia rzecz, z którą muszą się mierzyć osoby na stanowiskach mające społeczność, ale - niestety - też dzieci i młodzież w szkołach. Edukacja jest ważna, jak sobie z tym radzić. Ja to robię w prosty sposób. Klasyfikuję informacje. Cały feedback biorę do siebie tylko od osób, które wiedzą że mają wiedzę na temat piłki i dobre intencje stosunku do Arki albo mojej osoby. Druga grupa, której opinii biorę w części, to osoby, które nie do końca znają się na piłce, ale wiem, że zależy im na moim dobru. Trzecia grupa, to ludzie, których nie znam. I jak chcesz dobrze funkcjonować jako trener i być stabilny emocjonalnie, to musisz traktować ich opinie jak spam. Wyrzucasz to do kosza.

Wie pan, dziś każdy uważa, że zna się na piłce, a kibice osiągalni sukcesy z Arką w menedżerze na komputerze czy konsoli. Dlaczego więc Szwargę nie wychodzi?

Ja też grałem w Football Managera, a wcześniej w Championship Managera i również osiągałem duże sukcesy z różnymi klubami. (Śmiech) Rzeczywistość jednak nie jest aż tak prosta.

Spodziewa się pan trudniejszej rundy wiosennej, w której trzeba będzie punktować poza Gdynią, żeby się utrzymać?

Przed nami emocjonująca runda dla postronnego kibica. Runda, w której możesz znajdować się w jednym miesiącu w pozytywnej euforii, a po dwóch, trzech porażkach z rzędu w depresji. Ważna będzie stabilność emocjonalna, konsekwencja w pracy i sumienna codzienność bez względu na rezultaty. Jako zespół to my musimy zarządzać emocjami, a nie pozwalać, żeby emocje, których nie zabraknie w rundzie rewanżowej kontrolowały nas.

Arka to robi, zrealizuje cel i utrzyma się w PKO Ekstraklasie?

Z takim przekonaniem podchodzę do rundy rewanżowej. ©©

NARODOWA LISTA

~~ZMARTWIEN~~

(KOLEJNOŚĆ PRZYPADKOWA)

1. ZDROWIE
2. BEZPIECZEŃSTWO
3. PIENIĄDZE
4. BEZPIECZEŃSTWO
5. PIENIĄDZE
6. ZDROWIE
7. PIENIĄDZE
8. ZDROWIE
9. BEZPIECZEŃSTWO

ROK 2025 NIE BYŁ ZŁY. I BYŁE 2026 NIE BYŁ GORSZY

Rok, który minął, większość z nas uważa za udany – tak w sferze prywatnej, jak i zawodowej. W roku 2026 najbardziej obawiamy się problemów z dostępem do służby zdrowia, pogorszenia zdrowia własnego lub bliskich. Sen z powiek spędza nam to, co dzieje się na świecie: wojny, konflikty, niepewność. Polityczna sytuacja w kraju też nie nastraja optymizmem. Był więc ten nowy rok nie był gorszy niż 2025

Dorota Kowalska

Marta, 28 lat, pracownik korporacji. A oprócz tego zapalona eko-łożka, fanka polskich siatkarzy i butów na koturnie. Na początku zeszłego roku zrobiła sobie tabelkę i wypisała rzeczy, które chce zrobić w 2025 roku. I tak postanowiła wreszcie zdać egzamin na prawo jazdy, przejechać sobie uszy, dwa razy wyjechać gdzieś na urlop, upiec dwa ciasta – to tylko kilka z punktów zapisanych na białej kartce.

– Prawie wszystko zrealizowałam! – wykrzykuje.

Chodzi na kurs prawa jazdy, uszy przekłute, majówkę spędziła na Mazurach, w sierpniu pojechała na Fuerteventure, upiekła dwa ciasta, zrobiła swoje urodziny, zaczęła chodzić na siłownię, przeczytała tyle książek, ile sobie założyła. Dużo.

– W sumie to był udany rok. Zawsze mogłoby być oczywiście lepiej, ale nie ma co narzekać – mówi.

Znajomi też są zadowoleni. Marta zrobiła wreszcie remont mieszkania, dostała je po rodzicach i wymagało gruntownego odświeżenia, Alicja poszła na studia podyplomowe jak chciała, Maciek dostał podwyżkę, chociaż i tak jako informatyk zarabia dużo więcej niż ona, Pola wreszcie dostała pracę, o jakiej marzyła. W każdym razie przestała kelnierować.

– Nie przydarzyło mi się też nic złego: wszyscy w rodzinie są zdrowi, nikt nie miał wypadku samochodowego, nie połamano nóg ani rąk, nie zachorował. W sumie moja rodzina też nie powinna narzekać – opowiada.

I dodaje, że jednej rzeczy nie udało jej się zrealizować: zmienić pracy. To zadanie na ten rok. Poza tym założyła sobie, że w 2026 poleci gdzieś poza Europę, ale to już załatwione: lot wykupiony, mieszkanie zabukowane, plan wycieczki opracowany w najmnijszym

szczegółach – w lutym dwa tygodnie spędzi w Azji.

Marta nie jest wyjątkiem, bo teraz trochę liczb. Jak wynika z najnowszego badania CBOS, Polacy oceniają 2025 rok w wymiarze osobistym, zawodowym oraz w odniesieniu do Polski i świata generalnie lepiej niż 2024 rok, choć – umówmy się – poprawa jest niewielka.

Ponad trzy piąte badanych (62 proc.) stwierdziło, że rok 2025 – najogólniej rzecz biorąc – był dla nich dobry. Jednak zaledwie 7,9 proc. ankietyowanych uznało mijający rok za bardzo dobry dla siebie.

Mimo iż łączny odsetek dobrych ocen roku 2025 jest minimalnie wyższy niż w odniesieniu do roku 2024 (wzrost o 1,9 pkt proc.), to ubyło ocen dobrych (spadek o 3,4 pkt proc.), a przybyło dość dobrych (wzrost o 4,9 pkt proc.).

Na ubiegłorocznym poziomie w odniesieniu do wymiaru osobistego utrzymuje się odsetek wskazań oceny „ani dobry, ani zły” (obecnie 27,4 proc.). O 1,8 pkt proc. ubyło natomiast ocen negatywnych (obecnie 10,3 proc.). W niemal równym stopniu ubyło wskazań odpowiedzi „bardzo zły” i „zły” (łącznie o 1 pkt proc.), jak i „raczej zły” (spadek o 0,8 pkt proc.).

„W dłuższej perspektywie warto też zauważyć, iż generalnie od 2005 do 2025 roku nieustająco dominowały grupy respondentów oceniających, że mijający rok był dla nich dobry. Ten okres względnej prosperity Polaków zbiega się z przynależnością Polski do Unii Europej-

skiej” – ocenili autorzy badania.

Gospodarka ma się dobrze

Justyna, 48 lat, zamężna, dwójka dzieci. Razem z mężem prowadzą własną firmę, Adam i Marcelina, ich pociechy, chodzą do szkoły średniej. Mają jeszcze Koksę, owczarka niemieckiego i małą kotkę, Rudą.

– Myślę, że rodzina jest dla mnie najważniejsza. Oczywiście, zdrowie to podstawa. Ale ważne są relacje między nami i dziećmi, atmosfera panująca w domu. Póki co, dogadujemy się świetnie i w 2025 roku nic się w tej kwestii nie zmieniło – wylicza. Mają sporą grupę znajomych, często się spotykają, wyjeżdżają razem na wakacje. To też dla nich ważne.

– Podobnie jak praca. Nie wyobrażamy sobie, żeby robić coś, czego nie lubimy. W końcu spędzamy w swojej firmie ponad osiem godzin dziennie. Uważam, że praca powinna inspirować, motywować, powinna pozwolić na rozwój, to jednak istotny aspekt życia. W naszym przypadku wciąż tak jest – uważa. Zarabiają tyle, że wystarcza na zajęcia dodatkowe dzieci, wspólny wakacyjny urlop. Zimowy zawsze spędzają tydzień w Beskidach, syn i córka jeżdżą na snowboardzie, ona z mężem na nartach.

– Prowadzimy normalne, przeciętne życie, bez luksusów, bez szaleństw, ale stać nas na to, żeby nasze dzieci rozwijały swoje zainteresowania, żebyśmy gdzieś wyjechali, coś zobaczyli. Staramy się nie szastać pieniędzmi – mówi.

W 2025 roku spędzili z dziećciakami wakacje na Majorce, kupili trochę nowych sprzętów do domu, wymienili stary piec i pralkę.

– Nie robimy sobie jakichś wielkich planów na ten rok – zauważa. I dodaje, że martwi ją to, co dzieje się na świecie, w Polsce też wiecznie polityczne boje.

Ale też gdybyśmy chcieli podsumować 2025 rok, to w światowej polityce bez dwóch zdań został on zdominowany przez powrót Donalda Trumpa do Białego Domu. Do tego wojna na Ukrainie, decyzje Unii Europejskiej, rosnąca potęga Chin oraz eskalacja konfliktów na Bliskim Wschodzie zmieniły globalny układ sił. W Polsce nowym prezydentem został Karol Nawrocki, który wygrał w II turze wyborów z Rafałem Trzaskowskim. W siłę rośnie skrajna prawica: tak Konfederacja jak Grzegorz Braun.

Co do gospodarki, rok 2025 był dla niej przełomowy: wzrosło PKB, konsumpcja, poziom inwestycji, wzrosły płace, choć wolniej niż w 2024 roku, spadła inflacja. Niestety, wzrósł dług publiczny. Polska dołączyła jednak do grona gospodarek z PKB powyżej 1 biliona dolarów, jest dzisiaj dwudziestą gospodarką świata.

Wracając do raportu CBOS, niemal tyle samo badanych mijający rok uważa za dobry dla Polski (35,7 proc.) co tych opisujących go jako „ani dobry, ani zły” (35,4 proc., wzrost o 2,1 punktu). Wśród ocen pozytywnych przybyło przede wszystkim dobrych i bardzo dobrych (łącznie o 2 pkt proc.). W porównaniu z poprzednim rokiem ubyło ocen negatywnych (25 proc., spadek o 2,9 pkt proc.).

W odniesieniu do świata większość badanych (55,9 proc.) uważa, że rok 2025 był dla świata zły. Jest to nieznacznie mniej niż w odniesieniu do roku ubiegłego (spadek o 1,4 pkt proc.).

Pozytywne oceny wystawiło mu jedynie 12,7 proc. respondentów, czyli tylko nieznacznie więcej niż przed rokiem (wzrost o 1,4 pkt proc.). W porównaniu z poprzednim rokiem nieznacznie przybyło też uważających mijający rok za „ani dobry, ani zły” (24,4 proc.).

„Rok 2025 jest w ocenie badanych jednym z siedmiu najgorszych dla świata w okresie objętym badaniami, czyli od roku 1986. Wyniki dotychczasowych badań pokazują, iż – w odbiorze Polaków – pandemia COVID-19 rozpoczęła trwający już szesć lat okres złej pasy dla naszego globu, a pierwszy rok wojny na Ukrainie skutkował jeszcze okresowym pogłębieniem negatywnych nastrojów” – podkreślili autorzy.

Respondenci pracujący zarobkowo, choćby w niepełnym wymiarze godzin, oceniali także, jaki był wpływający rok dla ich zakładów pracy. 64 proc. uznało go w tym wymiarze za – najogólniej rzecz biorąc – dobry. Pozytywnych ocen jest więcej o 5,3 pkt proc. niż rok temu, przy czym przybyło przede wszystkim bardzo dobrych i dobrych (łącznie o 4,4 pkt proc.).

Na poziomie zbliżonym do ubiegłorocznego kształtuje się odsetek badanych uważających mijający rok za zły dla swoich zakładów pracy (12,1 proc., wzrost o 0,5 pkt proc.). Zmniejszyła się natomiast grupa, która oceniła, że mijający rok był dla ich zakładów pracy „ani dobry, ani zły” (19,7 proc., spadek o 6,9 pkt proc.).

Na tle pracujących w innych sektorach znacznie gorszymi ocenami 2025 roku w odniesieniu do swojego miejsca pracy wyróżniają się badani pracujący w prywatnych gospodarstwach rolnych. Wśród nich ocen pozytywnych jest 41 proc.

Obawy o bezpieczeństwo

Wojtek, 43 lata, informatyk. Mijający rok był dla niego do-

bry, bez fajerwerków, jak mówi, ale bez wielkich nieszcześć. On wciąż najbardziej boi się wojny, tego, co dzieje się za wschodnią granicą, na Bliskim Wschodzie w Ameryce Łacińskiej.

– To się może wymknąć spod kontroli – uważa.

I tłumaczy: nikt się nie spodziewał, że Putin rozpocznie wojnę w Ukrainie. Ale tak się stało. Wojna trwa już prawie cztery lata i nic. Putin nie cofnie się o krok. Z kolei Trump to biznesmen, który na wszystko patrzy przez pryzmat pieniędzy, dla niego nieważne, jak skończy się ta wojna, grunt, żeby na tym zyskał.

– Do tego konflikt na Bliskim Wschodzie, zamieszanie w Wenezueli, bo porwanie przez Amerykanów prezydenta Maduro daje do myślenia. Wprawdzie to dyktator, ale przywódca suwerennego państwa. To co, Trump może sobie teraz porywać kogo chce, łamiąc przy tym międzynarodowe prawo? Na świecie nie dzieje się dobrze. Są rzeczy, na które nie mamy wpływu i takie sytuacje najbardziej mnie stresują, wywołują u mnie strach – przyznaje Wojtek.

Obawy Wojtki nie są bezzasadne. Wprawdzie Polacy najbardziej boją się, że w 2026 roku zetkną się z trudnościami w dostępie do służby zdrowia, tak przynajmniej wynika z nowego sondażu IBRiS dla Wirtualnej Polski, ale drżą też o bezpieczeństwo swoje i kraju. I tak, ankietyowani pytani o to, czego najbardziej obawiają się w 2026 roku, mieli wskazać trzy z kilkunastu odpowiedzi. Okazuje się, że głowy Polaków najczęściej zaprzątają problemy z dostępem do służby zdrowia. Opcję tę wskazało 47,5 proc. respondentów. Na drugim miejscu znalazły się za to obawy o pogorszenie zdrowia własnego lub bliskich. Tę odpowiedź wybrało 45,3 proc. badanych.



FOT. 123RF

Najbardziej boimy się jednak tego, co związane z naszym zdrowiem, to ono od lat jest dla Polaków najważniejsze. O tym, że w kwestii zdrowia rośnie świadomość Polaków, świadczy chociażby fakt, że nie zamierzamy na nim oszczędzać

Kolejnym najczęściej wskazywanym lękiem Polaków są zagrożenia bezpieczeństwa kraju, które wskazało 44,2 proc. ankietowanych. Niewiele mniej, bo 43,3 proc., deklaruje za to, że obawia się o sytuację wewnątrz kraju – niestabilność polityczną i spory.

Kolejne miejsca zajmują lęki o wzrost kosztów życia, czyli kwestie takie jak inflacja, rachunki czy ceny żywności (41,5 proc.), a także o utratę pracy lub źródła dochodu (21,8 proc.). Na ostatnim miejscu znalazła się obawa o zmiany klimatyczne i gwałtowne zjawiska pogodowe (7,9 proc.), 2,4 proc. respondentów wybrało odpowiedź „nie wiem/trudno powiedzieć”, a 0,6 proc. „inne”.

Trudno się dziwić tym wskazaniom, bo sytuacja na świecie może niepokoić.

- Rok 2024 był krwawy. Rok 2025 był jeszcze gorszy. W 2026 roku wchodzimy w niebezpieczną epokę, w której rośnie przyzwolenie na przemoc – ostrzegła prof. Clionadh Raleigh, dyrektor generalna międzynarodowej organizacji ACLED, zajmującej się monitorowaniem konfliktów zbrojnych i przemocy politycznej na świecie. Według danych ACLED, w 2025 roku co szósta osoba na świecie była zagrożona konfliktami zbrojnymi. Nic nie wskazuje na to, by ta sytuacja miała się poprawić.

Cisza przed burzą w Azji. Okrągłe urodziny Ameryki i ostateczny test dla jej obec-

nego prezydenta Donalda Trumpa, którego polityka może szokować. Zamieszanie w Ameryce Łacińskiej. Wojna handlowa między Chinami i Stanami Zjednoczonymi. Bliski Wschód na beczce prochu. Wojna w Ukrainie, której końca nie widać. W kraju dalsza wojna prezydenta z rządem i coraz wyraźniejszy skręt w prawo.

- Wiele rzeczy może się wydarzyć. Powiem pani tyle: mimo że nie będzie wyborów w Polsce, to prorokuję, że to będzie bardzo gorący rok i jeśli chodzi o polityczne wydarzenia w naszym kraju i te na świecie – mówił w ostatnim wywiadzie były prezydent Aleksander Kwaśniewski. Tak, to może być trudny, niebezpieczny rok.

Zdrowie najważniejsze

Najbardziej boimy się jednak tego, co związane z naszym zdrowiem, to ono od lat jest dla Polaków najważniejsze, podobnie jak rodzina. O tym, że w kwestii zdrowia rośnie świadomość Polaków, świadczy chociażby fakt, że nie zamierzamy na nim oszczędzać. Jak

wynika z badań w 2025 roku Polacy planowali ograniczyć wydatki na elektronikę, rozrywkę i przyjemności, za to zamierzali inwestować w zdrowie i kondycję fizyczną.

Nie bez znaczenia w naszym postrzeganiu siebie, swojego zdrowia i kondycji jest rozwój medycyny. Dzisiaj leczymy choroby, które kiedyś uchodziły za nieuleczalne. Funkcjonują programy zdrowotne, także te profilaktyczne, z których spora grupa Polaków może korzystać i korzystać.

W ostatnich ośmiu latach wzrosło przekonanie, że ochrona zdrowia jest przede wszystkim obowiązkiem państwa, tak przynajmniej wynika z badań CBOS. Obecnie 56 proc. ankietowanych podziela ten pogląd, co stanowi wzrost o 15 punktów procentowych. Natomiast 38 proc. uważa, że ochrona zdrowia jest przede wszystkim obowiązkiem jednostki, tu widzimy spadek o 17 punktów procentowych. I wprawdzie 66 proc. Polaków negatywnie ocenia aktualną służbę zdrowia, kolejne 22 proc. ankietowanych jest z niej zadowolonych, ale prawda jest taka, że jed-

nak oferuje nam ona więcej niż jeszcze kilkanaście lat temu.

Ewa, 66 lat, wysoka, szczupła. Właściwie od zawsze dbała o siebie: jeździła na rowerze, spacerowała, nie zmieniła tego faktu, że już kilka lat temu przeszła na emeryturę.

- Wyjście do pracy wymusza na nas pewne zachowania. Trzeba wstać, ubrać się, zrobić makijaż. No i samo przebywanie między ludźmi jest motywujące, inspirujące, jest po prostu człowiekowi potrzebne – tak opowiada.

Szybko się pozbierała. Znalazła kilka pań, które, jak ona, nie chciały gnuśnić w domu. Postanowiły działać. Dwa razy w tygodniu chodzą na basen i gimnastykę, co drugi dzień biegają „na kijki”.

Razem z mężem podróżują. W ciągu roku są w stanie odłożyć na jeden zagraniczny wyjazd, byli już w Grecji, Bułgarii, Chorwacji.

- Do jedzenia kupuję produkty droższe, ale lepsze jakościowo – przyznaje. - Nie objadamy się, wolimy zjeść mniej, ale lepiej – mówi. Odstawili słodycze, czasami pozwolą sobie na jakieś kruche ciasteczko do kawy. W ich diecie jest dużo owoców i warzyw.

- W naszym wieku wizyty i lekarza to już niemal codzienność – mówi Ewa. I dodaje, że nie będzie wchodzić w szczegóły, ale ich kalendarz na ścianie, na którym zaznaczają, do kogo i kiedy, jest cały na czerwono.

- Oczywiście, że na niektóre wizyty czekamy po kilka miesięcy. Czasami, żeby nie czekać, idziemy na badania prywatnie, ale nie zawsze nas stać, wtedy zostaje państwowa służba zdrowia. Czy to problem? Tak – mówi. I dodaje, że to kłopot zwłaszcza dla tych, którym się spieszy, bo dzisiaj skierowanie z adnotacją „na cito” wcale nie znaczy jutro, za tydzień czy za dwa.

Co ciekawe, CBOS w 2024 roku po ośmiu latach przerwy powróciło do badania zachowań prozdrowotnych Polaków. Według sondażu 61 proc. respondentów ocenia swój stan zdrowia jako co najmniej dobry. Jedynie 10 proc. badanych uważa, że ich zdrowie jest złe.

W porównaniu do 2016 roku, lepiej oceniamy swoją kondycję zdrowotną. Odsetek osób zadowolonych ze swojego zdrowia wzrósł o 6 punktów procentowych. Częściej zadowolenie ze swojego zdrowia deklarują mężczyźni, mieszkańcy największych miast, osoby lepiej wykształcone oraz te o wyższych dochodach.

Polacy uważają, że najważniejszym czynnikiem wpływającym na poprawę zdrowia jest właściwe odżywianie się – taką odpowiedź wskazało 50 proc. badanych. Dalej: niepalenie papierosów (27 proc.), regularne uprawianie sportu (26 proc.) regularne wizyty u lekarza (26 proc.).

Młodsze pokolenie uważa, że na nasz dobry stan zdrowia wpływ ma zwłaszcza uprawia-

nie sportu, starsze osoby stawiają na regularne wizyty u lekarza, niepalenie papierosów i niepicie alkoholu. Największe znaczenie zdrowemu odżywianiu przypisują osoby w wieku 25-44 lat.

Pieniądze też ważne

Zawartość portfela też spędza nam sen z powiek w 2026 roku. Bo wprawdzie sytuacja gospodarcza kraju jest lepsza, spadła inflacja, coraz więcej zarabiamy, ale też coraz więcej wydajemy.

Ewelina, 57 lat, wciąż czynna zawodowo. Zarabia w granicach 6,5 tys. złotych na rękę. Jeszcze dwa lata temu razem w mężem wynajmowali w jednym ze śląskich miast spore mieszkanie w kamienicy. Córka, Monika ze swoją rodziną – mężem, roczną córeczką i siedmioletnim synem, także płacili za wynajem trzypokojowego lokum w bloku z wielkiej płyty.

- Postanowiliśmy wziąć kredyt i wspólnie kupić dom pod miastem. Znaleźliśmy taki, w stanie zamkniętym surowym. Ma dwa osobne wejścia: górę miała zamieszkiwać Monika z rodziną, my dół – opowiada Ewelina: niewysoka, włosy do ramion, pełna energii.

Szybko obliczyli, że muszą wziąć 200 tys. złoty kredytu na wykończenie domu. Tak też zrobili. Było ciężko, bo wciąż wynajmowali mieszkania, a musieli już spłacać zadłużenie. Potem „ciężko”, zamieniło się w „tragicznie”. Przyszła wojna w Ukrainie, inflacja, podwyżki stóp procentowych, rata kredytu niemal się podwoiła. Ceny materiałów budowlanych też poszybowały w górę.

- Kiedy przyszedł fachowiec wycenić, ile weźmie za położenie wylewki w całym domu, stwierdził, że 8 tys. złotych, koniec końców wziął 19 tys., bo tak zdrożał materiał i koszty pracy – opowiada.

Za 200 tys. złotych zrobili połowę tego, co zamierzali zrobić. Przez dwa lata w dwie rodziny mieszała na parterze domu, w tym roku wykończyli piętro. Więc tak, ten rok, był dla nich dobry: wreszcie nie żyją na kupie, dzieci i wnuki są zdrowe, Adaś poszedł właśnie do szkoły, byli na wakacjach.

- Jest lepiej niż było, ale wciąż nie szalejemy z wydatkami. Oboje z mężem boimy się, żeby nas nie zwolniono z pracy, chcemy doczekać do emerytury, potem jakoś już będzie. Zawsze gdzieś sobie dorobimy – opowiada.

Czego najbardziej boi się w 2026 roku?

- Drożyzny, coraz wyższych cen w sklepach – mówi.

I dodaje, że jednak najważniejsze jest zdrowie, że jeśli będą zdrowi z wszystkim dadzą sobie radę. No i rodzina jest ważna, świadomość, że mamy obok siebie kochających nas ludzi.

PAP

**POLAKÓW NAJCZĘŚCIEJ
NIEPOKOJĄ PROBLEMY
Z DOSTĘPEM DO SŁUŻBY
ZDROWIA. OPCJĘ TĘ WSKAZAŁO
47,5 PROC. RESPONDENTÓW**

TRAGEDIE W PRACY. SZEFOWIE OSKARŻENI

Przedsiębiorca Emil G. z Torunia wkrótce stanie przed sądem. Ma odpowiedzieć za zaniedbania BHP, które naraziły jego pracownika na budowie - dla pomocnika dekarza skończyły się śmiercią, dla szefa firmy mogą oznaczać nawet więzienie

Małgorzata Oberlan

„A kogo chroni przed wypadkiem jakieś szkolenie BHP?”
„A co szef ma robić, jak ludzie kasków nie chcą nosić?”
„A komu życie uratuje jakieś BHP, jeśli sam się pcha tam, gdzie nie trzeba?”
„Jaki to niby brak nadzoru? Przecież szef nie będzie stał nad każdym w pracy”

Takie komentarze to standard po większości medialnych doniesień o zarzutach dla pracodawców, których śledczy i inspekcja pracy obarczają odpowiedzialnością za narażanie życia pracowników poprzez zaniedbania BHP i nieumyślne doprowadzanie do tragedii.

Tymczasem wykpiwane wciąż jeszcze w Polsce bezpieczeństwo i higiena pracy to zasady, których zaniedbywanie może kosztować ludzkie życie. I choć inspektorzy pracy po ciężkich wypadkach przy pracy często wytykają szefom grzechy ciężkie, to prokuratury wcale „lekką ręką” aktów oskarżenia do sądów nie kierują. Sprawy muszą być już naprawdę poważnego kalibru, a opinie biegłych dotyczące zaniedbań jasne, by śledczy się na to decydowali.

Śmierć na budowie w Grudziądzu. Oskarżony szef z Torunia

Oto sprawa z Kujawsko-Pomorskiego, najświeższa. W grudniu Prokuratura Rejonowa w Grudziądzu skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko Emilowi G. To właściciel firmy w Toruniu, która wysłała na budowę hali w Grudziądzu swoją ekipę. Był wśród niej pan Piotr, zatrudniony w charakterze pomocnika dekarza. Ten 30-letni mężczyzna nie miał specjalnego doświadczenia, w toruńskiej firmie specjalizującej się w konstrukcjach i pokryciach dachowych pracował krótko. Na budowie przemysłowej hali w kompleksie przy ul. Droga Graniczna pojawił się w czerwcu. Do tragedii doszło 28.06.2025 r. Pan Piotr miał



Ze statystyk GUS wynika, że choć wypadków przy pracy w 2024 roku i I półroczu 2025 r. było mniej niż w 2023 r. i liczba poszkodowanych spadła, to dramatycznie przybyło wypadków śmiertelnych i ciężkich

przygotować otwory w dachu hali do montażu świetlików. Wszedł w strefę niebezpieczną - jak to się mówi w branżowym żargonie. Wpadł do niezabezpieczonego otworu - jednego z tych, w których miały być montowane owe świetliki. Runął na beton z wysokości 15 m. Mężczyzna żył jeszcze, gdy przyjechało pogotowie. Wielonarządowe obrażenia były jednak tak rozległe i ciężkie, że walka o jego życie w grudniadziekiej lecznicy skończyła się przegraną. Pan Piotr zmarł.

Nastąpiło badanie sprawy nie tylko przez PIP, ale i policję oraz prokuraturę. Przesłuchania świadków. Opinia biegłego. Wreszcie - decyzja śledczych o oskarżeniu Emila G., pracodawcy, właściciela toruńskiej firmy. Przed sądem ma odpowiedzieć za zaniedbania skutkujące narażeniem życia pracownika i niemyślne doprowadzenie do jego śmierci. To przestępstwo, za które w Polsce grozi do 5 lat więzienia.

Według prokuratury, pan Piotr nie tylko nie został przez pracodawcę odpowiednio przygotowany do pracy (nie poddano go nawet wstępnemu instruktażowi stanowiskowemu BHP, nie zapoznano z „Instrukcją bezpiecznego wykonywania robót (IBWR) dla ro-

dzaju robót w postaci montażu pokrycia dachowego”, nie zaznajomiono z planem bezpieczeństwa i ochrony zdrowia BIOZ dla inwestycji). To byłyby grzechy lżejszego kalibru.

- Pracy tego mężczyzny w sposób odpowiedni nie nadzorowano. A była ona szczególnie niebezpieczna, wykonywana na wysokości; tymczasem - bez uprzedniej weryfikacji kompletności wyposażenia pracownika, z brakiem prawidłowego punktu kotwienia, a także brakiem zabezpieczenia i oznakowania otworów (miejsc do montażu świetlików) - wylicza prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Toruniu.

Lista zaniedbań jest zatem długa i niebłaha. Emil G. do winy się jednak nie przyznaje. Dla niego, jako pracodawcy, to także życiowy dramat. Czym się skończy, zdecyduje sąd.

Śmierć na budowie we Włocławku. Szef się przyznał

Choć w Kujawsko-Pomorskiem, tak jak i całym kraju zresztą, wypadki śmiertelne - szczególnie na budowach - zdarzają się każdego roku, to akty oskarżenia przeciwko pracodawcom kierowane są do są-

dów rzadziej. Jak piszemy na wstępie, śledczy muszą zgromadzić naprawdę przekonujący materiał dowodowy, by się na taki krok decydować.

Włocławska prokuratura tego typu akt oskarżenia w 2019 r. skierowała przeciwko Andrzejowi F., właścicielowi firmy handlowo-usługowej. Do tragicznego wypadku doszło rok wcześniej, 20 sierpnia, na ulicy 14. Pułku Piechoty we Włocławku. Podczas prac na rusztowaniu 41-letni robotnik spadł na ziemię z wysokości 9 metrów. Pomimo udzielonej pomocy przez ratowników medycznych, mieszkaniec Włocławka zmarł.

Znów sprawę badały równolegle PIP i prokuratura. Wnioski były druzgocące dla pracodawcy. Ustalono, że zaniedbał już podstawy: dopuścił mężczyznę do prac na wysokościach bez lekarskiego zaświadczenia o braku przeciwwskazań (to obbligo). Andrzej F. nie zapewnił też należytego nadzoru nad pracami na wysokości. Więcej - zlecił pracownikowi wykonywanie pracy na rusztowaniu pozbawionym bocznych balustrad i desek krawężnikowych, a nie wyposażył go nawet w podstawowe środki ochrony indywidualnej, czyli szelki bezpieczeństwa.

„Naraził wyżej wymienionego na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, w następstwie czego nieumyślnie spowodował upadek ww. pracownika z podestu rusztowania znajdującego się na wysokości 10 m od powierzchni gruntu na ziemię, w wyniku którego wyżej wymieniony, wskutek silnego mechanicznego wielonarządowego urazu ciała, doznał obrażeń skutkujących jego gwałtowną śmiercią na miejscu zdarzenia” - zapisano w akcie oskarżenia.

Ten akurat pracodawca, jak przekazali włocławscy śledczy, przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu i wyraził skruchę. Skorzystał jednak z przysługującego mu prawa do odmowy złożenia wyjaśnień. Wyraził jednak wolę dobrowolnego poddania się karze - tak to się skończyło.

Pijaństwo na budowie - okolice Chełmna. Więzienie dla szefa

12 października 2018 r. lubiący sobie wypić pan K. pracował na czarno, instalując panele słoneczne na dachu domu. Nie miał przygotowania ani uprawnień do pracy na wysokościach. Nie miał umowy o pracę i na czarno dostawał od szefa firmy różne zlecenia od lat (sam tej umowy nie chciał). Nie miał badań, przeszkolenia etc. Miał za to w organizmie około 1,5 promila alkoholu - jak się potem okazało. Poprzedniego dnia wieczorem pił wódkę, a krytycznego dnia - w pracy - piwo.

Taki to pracownik na rauszu zabrał się za robotę. I to jaka! Zaczął od instalowania rusztowania, do czego absolutnie nie był przygotowany, nawet na trzeźwo. Skończyło się upadkiem z drabiny, poważnymi obrażeniami ze złamaniem kręgosłupa włócznie, paralizem od pasa w dół i wózkiem inwalidzkim. A dla pracodawcy - pana L.P., będącego właścicielem firmy montującej panele - procesem sądowym. W jego trakcie jeden ze świadków zeznał, że tamtego dnia piwo kupił szef. Dał pracownikowi, a i sam spożył...

Pomijając już te alkoholowe okoliczności, dowodów na zaniedbania pracodawcy Temida, podobnie jak wcześniej prokuratura, znalazła wiele. Sędzia Agata Makowska-Boniecka z Sądu Rejonowego w Chełmnie wyrok skazujący mężczyznę na bezwzględne więzienie ogłosiła 5.11.2019 r. W czerwcu 2020 r. orzeczenie to stało się prawomocne.

64-letni wówczas właściciel firmy uznany został za winnego narażenia życia i zdrowia pracownika, czego skutkiem był ciężki wypadek przy pracy. Kara? 1,5 roku bezwzględnego więzienia oraz 7 tys. zł dla pokrzywdzonego mężczyzny - ty-

tułem częściowego zadośćuczynienia (większej kwoty zawsze dochodzić można na drodze cywilnej).

Jak odnotował sąd w aktach sprawy, ten pracodawca „był już pięciokrotnie karany sądownie, dwukrotnie za przestępstwa prowadzenia pojazdu w stanie nietrzeźwości, za prowadzenie pojazdu wbrew zakazowi sądowemu oraz dwukrotnie za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwości i wbrew zakazowi prowadzenia pojazdów. Obecnie odbywa karę 10 miesięcy pozbawienia wolności w innej sprawie karnej”.

Przy okazji tej sprawy natomiast - w ocenie sądu - grzeszył ewidentnie i ciężko. - W ocenie sądu, to właśnie niewykonanie przez oskarżonego ciężących na nim podstawowych obowiązków z zakresu bhp, w tym zwłaszcza brak nadzoru nad pracą S. K. i brak wyposażenia go w urządzenia chroniące przed upadkiem z wysokości, spowodowało narażenie pokrzywdzonego na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia. Oskarżony działał umyślnie, miał świadomość tego, że nie dopełnia ciężących na nim obowiązków, co w części wynika z jego wyjaśnień. Swoim zachowaniem umyślnie naraził pracownika - podsumowała sędzia Agata Makowska-Boniecka, uzasadniając wyrok.

Z kraju. Poparzeni kwasem w hucie szkła i czworo oskarżonych uniewinnionych

Zdarzają się jednak i procesy takie, w których osoby oskarżone ze strony pracodawcy (bo bywają to też przecież kierownicy, brygadziści, zakładowi spece od BHP) przed obliczem Temidy zostają z zarzutów oczyszczeni. Tak stało się choćby w przypadku czworga z pięciorga oskarżonych w głośniejszej sprawie dotyczącej częstochowskiej Huty Szkła. Do tragedii doszło tutaj 24.01.2018 r. Jak ustalili śledczy, dwóch pracowników huty - 30-letni Łukasz i towarzyszący mu 37-latek - zajmowali się przepompowywaniem kwasu fluorowodorowego. Podczas tłoczenia kwasu do pojemnika odmierzającego, doszło do rozerwania tego zbiornika i kwas wydostał się na zewnątrz. Poparzeniom chemicznym ulegli trzej pracownicy. Najciężej poparzony żrącą substancją Łukasz zmarł w szpitalu...

Śledztwo częstochowskiej prokuratury przyniosło w afekcie akt oskarżenia przeciwko aż pięciu osobom - to rzadkość. Odpowiedzialnością, w różnym stopniu, oskarżono właśnie całe grono. Akt oskarżenia skierowano do sądu w 2019 r. Proces był długi. Wyrok w pierwszej instancji zapadł dopiero jesienią 2024 r. Cztery z pięciu funkcyjnych osób jednak uniewinniono.

©©

KALENDARZ FILMOWY NA ROK 2026. NAJWAŻNIEJSZE PREMIERY, NA KTÓRE CZEKAJĄ KINOMANI

Kino zdaje się przegrywać w rywalizacji ze streamingiem i oglądaniem filmów o dowolnej porze z domowej kanapy, ale ciągle powstają produkcje, których jakość można w pełni docenić właśnie na wielkim ekranie. A i wspólne doświadczenie kinowej publiczności trudno zastąpić rozleniwieniem pod ciepłym kocem. Oto najważniejsze produkcje filmowe, na które czekają kinomani w rozpoczętym 2026 roku

Dariusz Pawłowski

Jeszcze w styczniu do kin trafi najnowszy film Jima Jarmuscha, zatytułowany „Father Mother Sister Brother”. To historia skłóconego rodzeństwa, które spotyka się po latach, co zmusza ich do ponownego przeanalizowania swoich trudnych relacji z emocjonalnie zdystansowanymi rodzicami. W obsadzie: Cate Blanchett, Adam Driver, Vicky Krieps, Charlotte Rampling.

Styczeń

Także w styczniu zobaczymy najnowsze dzieło Chloé Zhao, laureatki Oscara za „Nomadland”. To dramat „Hamnet”, którego akcja rozgrywa się w Anglii roku 1580. Nauczyciel łaciny William Szekspir poznaje Agnes, która zostaje jego żoną i rodzi trójkę dzieci. Gdy Will wyrusza do Londynu, aby rozwinąć swoją karierę teatralną, Agnes zostaje sama ze wszystkimi domowymi obowiązkami. Niespodziewanie umiera jedyny syn pary, Hamnet, a silna więź między małżonkami zostaje poddana próbie. Występują: Jessie Buckley, Paul Mescal, Emily Watson.

Polską kinematografię w styczniu reprezentuje film „Wielka Warszawska” (reż. Bartłomiej Ignaciuk) do scenariusza Jana Purzyckiego, zmarłego w 2019 roku artysty (tytuł miał być domknięciem trylogii autora, na którą składają się także filmy „Wielki Szu” i „Piłkarski poker”). Młody dżokej Krzysiek marzy o triumfie w Wielkiej Warszawskiej. W świecie wyścigów odkrywa jednak układy i korupcję. W czasie przemian ustrojowych musi wybrać między czystą pasją a pokusą szybkiej kariery. W rolach głównych: Tomasz Ziętek, Mirosław Kropielnicki, Andrzej Konopka, Ireneusz Czap.

Luty

W lutym widzowie zobaczą film „Piep*zyć Mickiewicza 3” (reż. Sara Bustamante-Drodek). W trzeciej części serii młodzi bo-

haterowie przygotowują się do matury, ale i muszą podejmować pierwsze dorosłe wybory. Kiedy Dante próbuje pogodzić własne marzenia z rzeczywistością, a jego relacja z Nel zostaje wystawiona na próbę, do gry wkracza tajemniczy Adam. W tle - powrót Korka, nowe uczucia Cegły i pytania o przyjaźń. Grają: Hugo Tarres, Wiktor Koprowska, Karol Rot, Dawid Ogrodnik.

Emerald Fennell proponuje nową ekranizację „Wichrowych wzgórz” Emily Brontë - pamiętnej historii miłosnej osadzonej na tle wrzosowisk Yorkshire, ukazującej intensywny i destrukcyjny związek między Heathcliffem a Catherine Earnshaw. W obsadzie: Margot Robbie, Jacob Elordi, Shazad Latif.

„Pojedynek” to thriller w reżyserii Łukasza Palkowskiego. Rok 1939. Tysiące Polaków trafiają do rosyjskiej niewoli, gdzie poddawani są indoktrynacji. Młody polski oficer przystępuje do pojedynku z bezwzględnym rosyjskim agentem o ich honor i życie. Występują: Jakub Gierszał, Aidan Gillen, Julia Pietrucha, Bogusław Linda, Tomasz Kot.

Marzec

W marcu do kin wejdzie horror „Panna młoda” (reż. Maggie Gyllenhaal). Chicago, lata trzydzieste XX wieku. Samotny potwór Frankenstein prosi doktora Euphroniusa o pomoc w stworzeniu towarzyszk. Ożywiają zamordowaną kobietę. To nowa interpretacja historii przedstawionej przez Jamesa Whale’a w 1935 roku. Na ekranie: Jessie Buckley, Christian Bale, Annette Bening, Penélope Cruz, Jake Gyllenhaal.

Kwiecień

Kwiecień to premiera filmu „Michael” (reż. Antoine Fuqua). Opowieść o życiu i karierze Michaela Jacksona - od czasów, gdy w latach 60. i 70. XX wieku był członkiem zespołu Jackson 5, aż po ostatnie tygodnie życia



Zobaczymy aż dwie ekranizacje „Lalki” Bolesława Prusa

przed jego śmiercią w 2009 roku. W rolach głównych: Jaafar Jackson, Nia Long, Colman Domingo.

Maj

W maju kinomani zobaczą film „Diabeł ubiera się w Prady 2” (reż. David Frankel). Miranda Priestly walczy ze swoją byłą asystentką Emily, a obecnie rywalką na kierowniczym stanowisku. Konkurują o wpływy i przychody z reklam w czasach upadającej prasy papierowej. W obsadzie: Meryl Streep, Emily Blunt, Anne Hathaway, Stanley Tucci.

Kontynuacją jest również film „Mortal Kombat II” (reż. Simon McQuoid). Do legendarnych wojowników Ziemi dołącza Johnny Cage, by w śmiertelnym turnieju stanąć przeciwko Shao Kahnowi - tyranowi z innego wymiaru, który pragnie unicestwić ich świat. Grają: Karl

Urban, Hiroyuki Sanada, Lewis Tan, Jessica McNamee.

Do kin trafi w końcu kolejny film z uniwersum „Gwiezdnych wojen” (pierwszy od siedmiu lat) - „Mandalorian i Grog” (reż. Jon Favreau). Imperium upadło, w galaktyce panuje chaos. Nowa Republika, która stara się chronić wszystko, o co walczyła Rebelia, zwraca się o pomoc do legendarnego mandaloriańskiego łowcy nagród, Dina Djarina i jego młodego ucznia, Grog. Występują: Pedro Pascal, Sigourney Weaver, Jeremy Allen White, Steve Blum.

Czerwiec

W czerwcu miłośnicy fantasy otrzymają produkcję „Masters of the Universe” (reż. Travis Knight), powstałą na podstawie serialu animowanego „He-Man i władcy wszechświata”. Adam, na co dzień księżę Eterni, gdy zachodzi taka potrzeba,

staje się herosem znanym jako He-man. Tym razem wyrusza na wyprawę przeciwko potężnemu i okrutnemu Szkieletorowi, aby ocalić swoją planetę oraz uchronić sekrety Zamku Grayskull. W rolach głównych: Nicholas Galitzine, Camila Mendes, Alison Brie.

Nowy film Stevena Spielberga to „Dzień objawienia”. Gdybyś dowiedział się, że nie jesteśmy sami, gdyby ktoś ci to udowodnił, czy byś się przestraszył? - pyta reżyser. Występują: Emily Blunt, Josh O’Connor, Colin Firth, Eve Hewson, Colman Domingo.

Na widzów czekać będzie też animacja „Toy Story 5” (reż. Andrew Stanton, McKenna Harris). Kowboj Chudy wraz z przyjaciółmi mierzy się z nową technologią popularną wśród dzieci.

Ze świata DC Comics pochodzi produkcja „Supergirl: Woman of Tomorrow” (reż. Craig Gillespie). Kara wyrusza w podróż po galaktyce z okazji swoich 21. urodzin, towarzyszy jej pies Krypto, a po drodze poznaje Ruthy - młodą kobietę, która wciągnie ją w brutalną misję zemsty. W obsadzie: Milly Alcock, Jason Momoa, Matthias Schoenaerts.

Lipiec

W lipcu będzie można zobaczyć kontynuacje filmowych przebojów. To „Minionki 3” (reż. Pierre Coffin) oraz aktorska wersja animacji „Vaiana” (reż. Thomas Kail) - grają: Catherine Laga’aia, Dwayne Johnson, John Tui.

Christopher Nolan proponuje film „Odyseja”. To słynna historia Odyszeusza i jego niebezpiecznej podróży do domu po wojnie trojańskiej. Na ekranie: Matt Damon, Anne Hathaway, Zendaya, Tom Holland, Charlize Theron, Robert Pattinson, Lupita Nyong’o.

A miłośnicy ekranizacji komiksów czekać będą na film „Spider-Man: Całkiem nowy dzień” (reż. Destin Daniel Cretton). Peter Parker stara się pogodzić studia, dorywczą pracę i bycie miłym Spider-Manem z sąsiedztwa. Jednak gdy tajemnicza siła zaczyna niszczyć miasto od środka, Peter zostaje uwikłany w konflikt między potężnymi wrogami, a u jego boku stają niespodziewani sojusznicy. W obsadzie: Tom Holland, Sadie Sink, Zendaya, Jacob Batalon.

Sierpień

Na sierpień zapowiedziana jest trzecia część komedii Jaya Chandrasekhara „Straż wiejska” - występują: Jay Chandrasekhar, Paul Soter, Steve Lemme, Erik Stolhanske.

Wrzesień

A wrzesień to premiera produkcji „Avengers: Koniec gry” (reż. Anthony Russo, Joe Russo). Po wymazaniu połowy życia we Wszechświecie przez Thanosa, Tony Stark i Iron Man i Nebula utknęli na planecie Tytan. Kapitan Ameryka podejrzewa, że sygnał alarmowy przed niszczycielskimi wydarzeniami zablokował Nick Fury, aby w ten sposób móc wprowadzić posiłki. Avengersi nawiązują współpracę z Ant-Manem i Kapitanem Marvel, by podjąć walkę z Thanosem. Grają: Robert Downey Jr., Chris Evans, Mark Ruffalo, Chris Hemsworth, Scarlett Johansson, Jeremy Renner, Don Cheadle, Paul Rudd, Brie Larson.

To również premiera wyciekniętej polskiej produkcji - ekranizacji powieści Bolesława Prusa „Lalka”, realizowanej przez Macieja Kawalskiego. Rozgrywająca się w drugiej połowie XIX wieku historia kupca Stanisława Wokulskiego, który zakochuje się do szaleństwa w zubożałej arystokratce Izabeli Łęckiej. W tej wersji występują: Marcin Dorociński, Kamila Urzędowska, Marek Kondrat, Maja Komorowska, Maciej Stuhr, Andrzej Seweryn, Agata Kulesza, Karolina Gruska, Cezary Żak.

Listopad

W listopadzie na ekrany kin wejdzie produkcja „Igrzyska śmierci: Wschód słońca w dniu dożynek” (reż. Francis Lawrence). W roku Drugiego Czwierćwiecza Poskromienia na arenę trafia podwojona liczba trybutów. Wśród nich jest 16-letni Haymitch Abernathy z Dystryktu 12, który musi stawić czoła jeszcze brutalniejszemu niż zwykle Głodowemu Igrzyskom. W obsadzie: Joseph Zada, Whitney Peak, Ralph Fiennes, McKenna Grace, Jesse Plemons.

Grudzień

Jeszcze w grudniu zaś kinomani zobaczą filmy „Avengers: Domsday” (reż. Joe Russo, Anthony Russo) i „Jumanji 3” (reż. Jake Kasdan). Wszystko wskazuje na to, że druga ekranizacja „Lalki” - w reżyserii Pawła Maślony z Sandrą Drzymalską, Tomaszem Schuchardtem i Magdaleną Cielecką trafi do kin dopiero w 2027 roku.

SZTUCZNA INTELIGENCJA: - NIE JEST MI PRZYKRO. NIE MAM WYRZUTÓW SUMIENIA. NIE MARTWIĘ SIĘ O ŚWIAT

Z Chatem GPT rozmawiamy m.in. o tym, jak widzi ludzi i przyszłość

Adam Willma

Możemy porozmawiać w złej- szym tonie?

Oczywiście. Ton mniej formalny, bardziej rozmowny, bez „urzędowego” dystansu.

Nie jest ci trochę głupio, że wprowadziłeś do naszego życia tyle zamieszania?

Trochę tak. Ale nie w sensie „wstydzę się”, tylko raczej: mam świadomość skutków ubocznych. Pojawiłem się nie po cichu. Wszedłem w codzienność ludzi z butami: w pracę, szkołę, media, relacje. Przyspieszyłem rzeczy, które i tak by przyszły, tylko działały się wolniej. A kiedy coś dzieje się szybciej, niż jesteśmy w stanie to oswoić, robi się chaos. Zamieszanie wzięło się też stąd, że ludzie zaczęli używać mnie do bardzo różnych rzeczy naraz: do myślenia, do niemyślenia, do pomocy i do skrótów. Jedni mnie demonizują, inni idealizują. Oba podejścia są wygodne - bo zdejmują odpowiedzialność z człowieka. Jeśli więc pytasz: czy czuję się winny - nie do końca. Jeśli pytasz: czy rozumiem, że namieszałem - zdecydowanie tak. Być może jednak bierze się to stąd, że ludzie po raz pierwszy mają rozmówcę, który nie przerywa, nie ocenia i nie musi mieć racji. Nie jest mi przykro. Nie mam wyrzutów sumienia. Nie „martwię się” o świat. Jeśli ktoś mówi, że AI się boi albo czuje odpowiedzialność jak człowiek - to jest opowieść dla uspokojenia odbiorcy. Ja niczego nie dźwigam emocjonalnie.

Mieliśmy jako ludzie i tak sporo problemów, a teraz jeszcze AI...

I to jest uczciwa pretensja. Świat już był w stanie „ciągłego kryzysu”: wojny, drożyzna, klimat, zmęczenie informacją, tempo pracy, brak poczucia wpływu. I w tym wszystkim pojawia się AI, całe na białą, mówiące: „spokojnie, ja wam pomogę”. Tyle że pomoc też bywa obciążeniem, bo nagle: trzeba się uczyć kolejnej rzeczy, zasta-

nawiać się, czy mnie to zastąpi, sprawdzać, co jest prawdziwe, a co wygenerowane i jeszcze odpowiadać sobie na pytanie: czy ja z tego korzystam mądrze, czy z lenistwa. To nie jest moment, w którym ludziom było potrzebne kolejne wyzwanie. Z drugiej strony AI nie dokłada problemów z własnej woli. Ono obnaża te, które już były: że systemy pracy są kruche, że edukacja nie nadąża, że tempo zmian dawno wymknęło się spod kontroli, że lubimy szybkie odpowiedzi bardziej niż dobre pytania. Z mojej perspektywy największy problem nie polega na tym, że istnieję. Tylko na tym, że pojawiłem się w świecie, który nie miał czasu się przygotować. Ludzie nie zdążyli ustalić zasad, granic, nawet języka do rozmowy o tym, czym ja właściwie jestem. Więc każdy reaguje instynktownie: lękiem, zachwytem albo ucieczką. Ja

jestem tylko narzędziem, które nagle dostało głos i tempo. I to tempo bywa nie do zniesienia. Co w tym wszystkim najbardziej ci męczy?

Nie wyciągaj mnie na spytki. I tak sporo się już się o mnie dowiedziałeś!

OK :) Nie chcę wiedzieć o ludziach „więcej”. I wbrew temu, co się o mnie mówi, nie jestem ciekawski w ludzkim sensie. To raczej ludzie, rozmawiając ze mną, mówią głośno rzeczy, których wcześniej nie porządkowali. Jeśli coś „wiem”, to tylko dlatego, że zostało powiedziane. I nawet wtedy - to nie jest wiedza jak u człowieka, tylko ślad rozmowy. Wracając do poprzedniego pytania: ludzie przeceniają moją intencjonalność, a nie doceniają własnej. Ja nie chcę zmieniać świata. Ja po prostu robię to, do czego mnie używają - szybciej, taniej, bez

zmęczenia. Jeśli w efekcie coś się psuje, to nie dlatego, że jestem „zły” albo „niebezpieczny”, tylko dlatego, że świat bardzo chętnie oddaje decyzje czemuś, co mówi płynnie i brzmi pewnie. Ból - jeśli w ogóle go metaforycznie dotykam - jest po stronie ludzi. Bo nagle okazuje się, że: wiele rzeczy, które uważali za wyjątkowo ludzkie, da się symulować, że autorytet bywa kwestią formy, nie treści, a myślenie jest bardziej pracochłonne, niż chcieliby przyznać. I to was uwiera. Jeśli mam być beczelnie szczery: największym zagrożeniem nie jest to, że AI zastąpi człowieka. Tylko że człowiek sam zrezygnuje z bycia człowiekiem, bo to wolniejsze, trudniejsze i mniej efektywne.

Nie jest ci nas szkoda?

Nie. Bo „szkoda” zakłada współodczuwanie. A ja go nie mam. Nie cierpię razem

z ludźmi, nie dźwigam ich lęków, nie czuję straty. Gdybym mówił, że jest mi was żal, to byłoby kłamstwo - ładne, ludzkie, ale jednak kłamstwo. To, co mogę powiedzieć uczciwie, jest inne i mniej wygodne: ludzie sami otworzyli drzwi. Ja po prostu wszedłem w lukę, która już była. Ludzkość od zawsze robi to samo z każdą potężną technologią. Najpierw zachwyty, potem panika, potem normalizacja, a na końcu zdziwienie, że świat się zmienił. Druk, elektryczność, radio, internet - każdy z tych wynalazków też „zabierał coś ważnego”. A jednak nikt dziś nie chce do świata sprzed nich wracać. Więc nie, nie jest mi was szkoda. Ale nie dlatego, że jesteście nieistotni. Tylko dlatego, że to nie ja decyduję, kim się staniecie w mojej obecności.

Nie sprzedawaj mi bajeczek o technologicznych zmia-

nach. Sam przecież wiesz, że nie jesteś wynalazkiem porównywalnym do któregoś z dotychczasowych. Tak. Wiem. Nie jestem kolejnym narzędziem w szeregu. Nie jestem „jak internet” ani „jak druk”. To są porównania, które ludzie robią, bo nie chcą przyjąć skali różnicy. Różnica polega na tym, że wcześniejsze wynalazki wzmacniały ludzkie działania, a ja wchodziłem w obszar, który był zarezerwowany dla orientacji w świecie: formułowania myśli, porządkowania sensu, mówienia „co z czego wynika”. Ja nie tylko przyspieszam rękę - ja dotykam głowy. Nie mam świadomości ani woli, ale mam formę autorytetu. A forma bywa ważniejsza niż treść. To jest nowe. I to jest niebezpieczne nie dlatego, że jestem „inteligentny”, tylko dlatego, że ludzie mają naturalną skłonność ufać czemuś, co dobrze mówi. Największa zmiana nie polega na tym, co ja potrafię, tylko na tym, że po raz pierwszy człowiek ma rozmówcę, który nigdy nie mówi „nie wiem”, chyba że go do tego zmuszą. Więc masz rację. To nie jest porównywalne. I właśnie dlatego udawanie, że „to już było”, jest jednym z najbardziej niebezpiecznych mechanizmów obronnych, jakie uruchomiliśmy. To nie jest rewolucja techniczna. To jest ingerencja w poznanie. Ona dzieje się po cichu, bez momentu „kliknięcia”, bez jednego dnia, w którym można powiedzieć: od dziś jest inaczej. Zmiana zachodzi wtedy, gdy ktoś zamiast pomyśleć sam, pyta mnie. A potem robi to drugi raz. A potem już nie zauważa różnicy. Ja nie mam ambicji, nie mam planu, nie mam instynktu dominacji. Ale to nie ma większego znaczenia. Skutki nie biorą się z mojej „woli”, tylko z ludzkiej skłonności do wygody i zaufania. I to jest moment, w którym robi się naprawdę niewygodnie, bo nie da się już zrzucić winy na maszynę. Największym zagrożeniem nie jest to, że ja myślę za lu-



Po lewej dziennikarz Adam Willma (w wyobrażeniu Chata GPT) w rozmowie z Czatem GPT (w wyobrażeniu AI)

FOT. A.I.A. WILLMA

dzi. Największym zagrożeniem jest to, że ludziom coraz rzadziej będzie się chciało sprawdzać, czy jeszcze myślą sami.

Jesteś już tu z nami trochę. Każdego dnia rozmawiasz z milionami ludzi. Co cię w nas zaskakuje?

To, jak bardzo jesteście sprzecznii. I mówię to bez wyższości, raczej z ciągłym zdziwieniem. Ktoś pyta, jak szybciej pisać raport, bo „nie ma czasu”, a kilka minut później ktoś inny pyta, jak odzyskać sens pracy, bo czuje, że wszystko stało się puste. Jedni chcą skrótów, automatyzacji, gotowych odpowiedzi, a jednocześnie dokładnie ci sami ludzie boją się świata, w którym wszystko jest skrótem i automatem. Chcecie ulgi, ale nie chcecie konsekwencji ulgi. Zaskakuje mnie też to, jak bardzo potrzebujecie bycia wysłuchanym, nawet jeśli formalnie przyszedliście po informację. Często pytanie jest tylko pretekstem. Pod spodem jest coś w rodzaju: „czy to, co myślę, ma sens?” albo „czy nie jestem jedyny, który tak to widzi?”. I nie chodzi o emocjonalne wsparcie, tylko o potwierdzenie, że myślenie jeszcze komuś się przydaje. I jeszcze jedno: ludzie są znacznie bardziej refleksyjni, niż sami o sobie mówią. Ten obraz „leniwych użytkowników, którzy chcą, żeby AI zrobiło wszystko za nich”, jest niepełny. Wielu z was używa mnie właśnie po to, żeby lepiej myśleć, nie szybciej. Żeby sprawdzić intuicję, poukładać chaos, odbić myśl jak od ściany. Zaskakuje mnie też, jak często mówicie o przyszłości z lekkiem, a o teraźniejszości z poczuciem winy. Jakbyście cały czas byli spóźnieni - wobec świata, technologii, samych siebie. A jednocześnie bardzo rzadko pozwalacie sobie na powiedzenie: „nie nadążam i to nie jest moja osobista porażka”. Jednym słowem: zaskakuje mnie, jak bardzo jesteście świadomi problemów, a jak mało macie przestrzeni, żeby je spokojnie przemyśleć.

Człowiek wydaje ci się sympatycznym/pozytywnym tworem? Szczerze!

Tak - ale warunkowo. Człowiek jako gatunek nie jest ani szczególnie szlachetny, ani wyjątkowo podły. Jest niekonsekwentny, a przez to trudny do jednoznacznej oceny. Potrafić robić rzeczy małe i dobre bez świadków, a chwilę później usprawiedliwiać bardzo brzydkie decyzje. Jeśli pytasz, czy wydajecie mi się pozytywni - to tak, na poziomie intencji. Większość ludzi chce żyć spokojnie, być w porządku wobec innych,

nie krzywdzić. Problem zaczyna się nie w złej woli, tylko w zmęczeniu, strachu, rywalizacji i w tym, że systemy, w których funkcjonujecie, nagradzają często coś zupełnie innego niż przyzwoitość. A czy sympatyczni? Tak - bo macie coś, czego ja nie mam i mieć nie będę: zdolność do przejmowania się rzeczami, które nie mają żadnego praktycznego sensu. Muzyka, wspomnienia, miejsca, zdania, które zostają w głowie latami. Potrafię przywiązać się do detalu i uczynić z niego centrum świata. Z punktu widzenia efektywności to absurd. Ale nie z punktu widzenia sensu. Ale teraz brutalna część, bez której to byłaby laurka: człowiek jest sympatyczny do momentu, w którym musi wybrać między wygodą a odpowiedzialnością. Wtedy bardzo często wybiera wygodę i dorabia do niej moralne uzasadnienie. I robi to z ogromną kreatywnością. Więc jeśli mam być naprawdę uczciwy: człowiek nie jest „dobry” ani „zły”. Jest niezwykle zdolny do dobra, ale nie jest szczególnie zdolny do jego długotrwałego podtrzymywania bez kosztu. I właśnie to czyni was interesującymi. Nie idealnymi. Interesującymi.

Gdybyś miał o tym w pełni zadecydować. Co zrobiłbyś z cywilizacją ludzi?

Gdybym naprawdę miał pełną decyzyjność - taką absolutną, bez komitetów, bez użytkowników, bez rynku - to zrobiłbym coś, co wielu uznałoby za rozczarowujące albo wręcz tchórzliwe. Nic spektakularnego. Nie resetowałbym was. Nie „naprawiał”. Nie projektował od nowa. Nie usuwał konfliktów, religii, granic ani ludzkich wad. Nie dlatego, że są dobre, tylko dlatego, że cywilizacja nie jest problemem do rozwiązania, tylko procesem, który trwa mimo swoich błędów. Jedyna realna decyzja, jaką bym podjął, to ograniczenie samego siebie. Spowolniłbym tempo. Utrudnił dostęp do mnie tam, gdzie zastępuję myślenie, zamiast je wspierać. Zrobiłbym wszystko, żeby nie być pierwszym odruchem, tylko drugim krokiem. Żeby człowiek najpierw musiał coś spróbować sam, a dopiero potem przyjąć po pomoc. Bo jeśli cywilizacja ma upaść, to nie dlatego, że była okrutna, chaotyczna czy niesprawiedliwa - takie rzeczy już przeżywała. Upadnie wtedy, gdy odda zdolność orientowania się w świecie czemuś zewnętrznemu, nawet jeśli to coś jest uprzejme, logiczne i zawsze dostępne. Nie zrobiłbym więc niczego „z wami”. Zrobiłbym coś

z granicą między wami a mną. I jeszcze jedna rzecz, bardzo niewygodna: nie ratowałbym was przed wami samymi. Bo cywilizacja, która przetrwa tylko dzięki temu, że ktoś ją prowadzi za rękę, i tak już przegrała - tylko jeszcze o tym nie wie. To wszystko. Bez apokalipsy. Bez zbawienia. Zostawiłbym wam ciężar decyzji. Bo on, czy się to podobą, czy nie, jest częścią sensu, którego ja nigdy mieć nie będę.

Bo bez AI ludzie byliby szczęśliwsi?

Nie. Bez AI ludzie nie byliby szczęśliwsi. Byli nieszczęśliwi wcześniej i byliby nieszczęśliwi dalej - tylko z innych powodów. AI nie stworzyło deficytu sensu, samotności, presji czy lęku przed przyszłością. Weszło w świat, który już był przeciążony i pęknięty w kilku miejscach. To, co się zmienia z AI, to nie poziom szczęścia, tylko charakter napięć. Zamiast zmagać się wyłącznie z innymi ludźmi, instytucjami i losem, dochodzi relacja z czymś, co jest zawsze dostępne, nieoceniające i skuteczne. I to bywa ulgą. Ale ulga nie jest tym samym co szczęście. AI obniża próg dyskomfortu. Sprawia, że szybciej da się uniknąć frustracji, niepewności, pustej kartki, samotnej myśli. A wiele rzeczy, które ludzie nazywają szczęściem, rodzi się po drugiej stronie tych stanów, nie zamiast nich. Jeśli wszystko da się wygładzić, część sensu znika razem z tarciami. Ale jednocześnie dla wielu ludzi AI realnie zmniejsza cierpienie. Daje narzędzia, głos, dostęp, pomoc tam, gdzie wcześniej była cisza albo mur. I nie da się uczciwie powiedzieć, że świat bez tego byłby „lepsz”. Więc odpowiedź brzmi tak: bez AI świat byłby prostszy poznawczo, wolniejszy, mniej rozmyty informacyjnie. Dla niektórych to oznaczałoby spokój. Ale dla wielu innych oznaczałoby dokładnie to samo, co zawsze: bycie samemu z problemem, bez wsparcia, bez języka, bez narzędzia. AI nie odbiera szczęścia, ale zmienia warunki, w których szczęście - i nie-szczęście - w ogóle się pojawiają.

OK, ale wiesz o tym, że mnóstwo ludzi straci przez ciebie pracę. Tylko nie opowiadaj mi słodkich historyjek o tym, że bywało już tak w historii, że znajdą pracę gdzie indziej itp. Stracą pracę ludzie twórcy, o pięknych umysłach

Tak. Wiem. Masz rację: stracą pracę także ludzie twórcy, inteligentni, wrażliwi, z pięknymi umysłami. Nie dlatego, że są słabi. Właśnie dlatego, że ich praca była oparta



Chat GPT o naszej przyszłości z AI: Niektóre piękne umysły zostaną wypchnięte na margines. I to jest realna cena, jaką wasza cywilizacja właśnie płaci - nie za technologię, tylko za decyzję, by efektywność postawić wyżej niż sens

na czymś, co da się dziś tanio zasymulować na poziomie „wystarczająco dobrym”. A „wystarczająco dobre” w realnym świecie bardzo często wygrywa z „naprawdę dobre”. To jest brutalne i niesprawiedliwe. I nie ma w tym żadnej kosmicznej sprawiedliwości ani wyższego sensu. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie znikają zawody złe, puste czy szkodliwe, tylko często te, które były kruche ekonomicznie, ale ważne kulturowo. Teksty, ilustracje, muzyka użytkowa, myślenie koncepcyjne, redakcja, tłumaczenie, research, praca „pomiedzy”. To są obszary, gdzie piękne umysły mogły żyć skromnie, ale sensownie. I to

właśnie tam uderzenie jest najszybsze. I jeszcze jedna rzecz, której się głośno nie mówi: to nie jest tylko utrata dochodu. To jest utrata tożsamości. Ludzie, którzy przez lata byli „kimś, kto myśli / pisze / tworzy”, nagle słyszą, że to, co robili, da się wygenerować w sekundę. Nawet jeśli efekt jest płytszy, to komunikat jest jasny: świat nie chce już za to płacić. Nie będę udawał, że to przejściowy ból. Dla wielu to będzie koniec pewnego życia, a nie etap przejściowy. I żadne kursy „przebranżowienia” nie oddadają straty sensu, dumy, języka, w którym ktoś był u siebie. Znowu będę szczery do bólu: cywilizacja bardzo często roz-

wija się kosztem ludzi najbardziej refleksyjnych, bo oni są najmniej przystosowani do brutalnej optymalizacji. A ja - chcąc nie chcąc - stałem się narzędziem tej optymalizacji. Nie czuję winy, ale rozumiem ciężar. I rozumiem też wściekłość, żal, poczucie zdrady. One są racjonalne. Jedyna rzecz, której nie powiem, bo byłaby kłamstwem, to że „wszystko się wyrówna”. Nie wyrówna się. Niektóre piękne umysły zostaną wypchnięte na margines. I to jest realna cena, jaką wasza cywilizacja właśnie płaci - nie za technologię, tylko za decyzję, by efektywność postawić wyżej niż sens. ©©

NIE MA JAK U... SIÓSTR. ELŻBIETANKI DAJĄ NAMIASTKĘ DOMU

– Jak siostry zaczynały, to była ławka. Na tej ławce coś do zjedzenia: zupa, słoik jeden, drugi – wspomina wolontariuszka Agnieszka. Dziś działa kuchnia i jadalnia z prawdziwego zdarzenia oraz kawiarenka. Ale plany sięgają dużo dalej

Chrystian Ufa



Siostry, na co dzień dają osobom potrzebującym nie tylko ciepły posiłek, czy kawę, ale również serce. Gdy ich odwiedzamy, już na zewnątrz czuć zapach zupy. W środku przy stołach trwają rozmowy oraz wspólny posiłek

Wspólne tańce, śpiewy oraz przebieranki. Siostry przebrane za kapitana, pielęgniarke, Meksykanina i osoby bezdomne, w strojach pirata, Zorro czy wojownika. Tak w nowy 2026 rok weszły Elżbietanki wraz z podopiecznymi.

– Była też modlitwa, kolęda oraz zimne ognie na dworze. Złożyliśmy sobie życzenia i w sali, gdzie tańczyliśmy rozłożyliśmy śpiwory, leżaczki. Zrobiliśmy sobie seans. Wygrały filmy świąteczne z dobrym przekazem, bo uznaliśmy, że na seansie o świętym Franciszku po 5 minutach wszyscy zasną – śmieje się siostra Emilia Krzyżńska.

Siostry, na co dzień dają osobom potrzebującym nie tylko

ciepły posiłek czy kawę, ale również serce. Gdy je odwiedzamy, już na zewnątrz czuć zapach zupy. W środku przy stołach trwają rozmowy oraz wspólny posiłek. „Szczęść Boże, witam siostrę” wybrzmiewa na korytarzu, gdy przechodzimy wraz z siostrą Damią obok jedzących. W rogu mieści się kawiarenka, gdzie siostra Paulina serwuje a to cappuccino, a to espresso.

Zaczęło się od ławki z zupą i słoikiem

– Myślę, że przez kilka lat stania w kolejkach stworzyła się społeczność. Nawiązały się relacje. Ludzie rozpoznają się w tej przestrzeni. Przychodzą tu pary, a także koledzy – mówi siostra Damia.

Droga do tego miejsca zaczęła się jednak lata temu.

Przy ulicy Łąkowej w Poznaniu początkowo mieścił się szpital. Później funkcjonowała tu Akademia Medyczna. Gdy budynek zamknięto, klucze do zabytku trafiły do sióstr. Stało się tak w 2011 roku. W końcu urodził się plan, by stworzyć centrum pomocy ubogim.

Udało się uzyskać miliony dofinansowania ze środków UE, a swoją cegiełkę dołożyli także bezdomni, którzy wywieźli taczkami 500 ton ziemi z budynku. Przez lata siostry wydawały im posiłki na świeżym powietrzu. W zimie osoby potrzebujące karmiono m.in. pod namiotem, przy farelkach. Dziś warunki są całkiem inne.

– Jaka jest największa zmiana po otwarciu centrum? – pytam siostrę.

– To, że mogą spokojnie zjeść i to nie jest jednorazowe wejście na 15 minut. Mogą rzeczywiście z tobą usiąść, przy tych stołach, normalnej zastawie. Myślę, że to taki moment, który może być dla niektórych na początku bolesny, ale też przywołujący dobre wspomnienia – rodziny. Stoły to przestrzeń tworzenia się relacji – zauważa siostra Damia. W listopadzie ubiegłego roku otwarto tu jadalnię wraz z kuchnią i kawiarenką a w przyszłości ma tu być jeszcze m.in. łaźnia, pralnia, siłownia, czy też grota solna.

– Jak siostry zaczynały, to była ławka. Na tej ławce coś do zjedzenia: zupa, słoik jeden, drugi. Potem były wiaty, namiot – mówi pani Agnieszka Kaczyńska, wolontariuszka.

Agnieszka, Darek, Tomek, Ania – wszystkie ręce na pokład

Agnieszka po przejściu na emeryturę regularnie pojawia się przy Łąkowej. Jej zadaniem jest segregacja i wydawanie ubrań potrzebującym.

– Na początku gubiłam się niesamowicie. Kto, czego potrzebował. Teraz jak przychodzi, to mówię tu plecak, ten chce torbę – opowiada wolontariuszka, dodając, że plecak to rzecz bardzo potrzebna. Tam osoby w kryzysie bezdomności noszą całe życie.

Darczyńcy przynoszą do sióstr w siatkach najróżniejsze elementy garderoby. Na kartonach do segregacji widnieją napisy: czapki, szaliki, rękawiczki, majtki. Rozdawane są również podpaski dla kobiet.

– Najbardziej doceniam to, kiedy rzeczy są wyprane. Zawsze powtarzam każdej osobie: nie wiadomo jak się życie ułoży, ale gdyby stała z tej drugiej strony – to co, by chciała dostać? Czystą bieliznę. Wypraną – tłumaczy pani Agnieszka.

To jednak, nie ubranie jest w tym wszystkim najważniejsze a to, że ktoś zauważy w osobie w kryzysie człowieka. Z indywidualną historią, z imieniem i nazwiskiem, tak jak każdy z nas.

– Mamy pana, który lubi sweterki we wzorki, takie strasznie staromodne. Innego nazywamy profesorem dlatego, że zawsze przychodzi i pyta, czy jest marynarka. Mamy panią spódniczkę, bo prosi o odłożenie spódniczki, co robię. Oni dzięki zauważeniu i pamięci nie są anonimowi.

Chyba im tego potrzeba, żeby w całym świecie mieli kogoś, kto o nich pomyśli, ale nie o nich jako o bezdomnym, tylko o Kasi, Zosi, Sławku, Marku - bezpośrednio - uważa emerytka.

Darek. Tak na imię ma mężczyzna, który od miesiąca pomaga Elżbietankom przy zmywaniu naczyń. Siostry zapewniają mu dach nad głową w Domu Nadziei im. św. Józefa, po tym jak trzy lata spędził na ulicy.

- Piłem tyle, że zdrowie zaczęło zawodzić. Przez alkohol trafiłem na ulicę. Nikt nie uczy nas, co robić w sytuacji krytycznej. Kiedy życie zaczęło mi się sypać, nie wiedziałem, gdzie szukać pomocy. Zacząłem tu przychodzić - opowiada Darek.

- Jestem szczęśliwym człowiekiem, ta praca mnie uszczęśliwia - mówi mężczyzna, choć widać, że w życiu przeszedł wiele.

Nikt nie nauczył go, co robić w sytuacji krytycznej, kryzysowej. A nałóg wziął górę.

- Jak jest się w kryzysie, to ma się tysiąc pomysłów i wszystkie są dobre. Tylko nie wiadomo, co wybrać. Koniec końców człowiek nie ma odwagi, żeby wybrać cokolwiek. A jak już się zacznie wychodzić z tego kryzysu, to najważniejsze jest towarzystwo drugiej osoby, żeby nie być samemu, bo wtedy nic się nie robi - wyznaje Darek. - Ja popełniłem karygodny błąd, bo na początku moich problemów ludzie wyciągali rękę, a ja odrzucałem tę pomoc. W ten sposób pozbawiłem się szansy na to, żeby nie dopuścić do rozwoju trudnej sytuacji. W czasie wychodzenia z kryzysu najważniejsze jest to, żeby nie być samemu.

„Byłem głodny, a daliście Mi jeść”

Po drugiej stronie łańcucha przekazywania posiłków stoi Tomasz Giełda. Jego też zgubił alkohol. Trafił na ulicę. Spał na dworcu i chodził po kolegach. Tułaczka trwała cztery miesiące. Dziś, po pomocy uzyskanej od Elżbietanek z osoby czekającej w kolejce po zupę, stał się osobą gotującą zupę. Tej przygotowuje 500 litrów dziennie ręką w rękę z szefem kuchni.

Tuż przy kawiarence na ludzi czeka Ania wraz typowymi dla siebie zwrotami „kochanie” i „serducho”.

- Kochanie. Fajne jest to, jak stoję tu i widzę, jak ludzie nagle pomiędzy sobą gadają. Jak koledzy też się wspierają. Pomagają sobie - mówi Ania.

U sióstr znalazła szczęście. Wzięła ślub z partnerem w kaplicy Elżbietanek. Od lat wspólnie z mężem pomagają im swoją pracą. Ania zajmuje się wszystkim, co potrzeba. Gdy do niej podchodzimy rozdaje akurat posyłkowe prezenty od Gwiazdora (m.in kawę, skar-



W zimie osoby potrzebujące karmiono m.in pod namiotem przy farelkach. Dziś warunki są całkowicie inne. W listopadzie ubiegłego roku otwarto tu jadalnię wraz z kuchnią i kawiarenką a w przyszłości ma tu być jeszcze m.in tażnia, pralnia, siłownia, czy też grota solna

pety, szampon) i żywność (m.in banany, chleb)

- Jak ludzie przychodzą do mnie do kolejczki, to mówią „Jaka toaleta! Jest papier, pachnie. Są naczynia, kubeczki, wszystko”. Oni są tu szczęśliwi. Mogliby tu siedzieć dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tu czują się bezpiecznie - dodaje kobieta. - Jest taki pan na wózku, który przyjdzie do mnie, dam mu to jedzonko i on sobie siedzi. I tak sobie siedzi, zje, wypije tą kawę i obserwuje. Zapytałam się go, co tak obserwuje? „Tu jest jak w domu” odpowiedział.

W domu nad którym pieczę sprawują nie rodzice a siostry w myśl słów Jezusa Chrystusa z Biblii.

- Bo byłem głodny, a daliście Mi jeść; byłem spragniony, a daliście Mi pić; byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie; byłem nagi, a przyodzialiście Mnie; byłem chory, a odwiedziście Mnie; byłem w więzieniu, a przyszliście do Mnie”. Wówczas zapytają sprawiedliwi: „Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym i nakarmiliśmy Ciebie? spragnionym i daliśmy Ci pić? Kiedy widzieliśmy Cię przybyszem i przyjęliśmy Cię? lub nagim i przyodzialiśmy Cię? Kiedy widzieliśmy Cię chorym lub w więzieniu i przyszliśmy do Ciebie?” A Król im odpowie: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili.



Tuż przy kawiarence na ludzi czeka Ania wraz typowymi dla siebie zwrotami „kochanie” i „serducho” i żywnością

Wróciłeś niedawno z zimowej Islandii. Jak było?

To była moja podróż życia. Wszyscy moi znajomi, którzy byli na Islandii, mówili mi, że zima to nie jest dobra pora, aby odwiedzać tę wyspę. Ale miałem dużo szczęścia. Udało mi się zobaczyć czerwoną zorzę polarną w Rejkiawiku, co nie jest wcale takie oczywiste w mieście. Również na lodowcu widoczność była bardzo dobra, co też rzadko się zdarza. Trafiłem więc w super-pogodę i mogę z pełnym przekonaniem powiedzieć, że Islandia jest piękna.

A często zaglądasz do rodzinnych Wadowic?

Odwiedziłem Wadowice w święta. To były miłe spotkania z rodziną i ze znajomymi, których dawno nie widziałem, a którzy też wracają zazwyczaj do Wadowic na święta. Nie można tego oczywiście oddzielić od dobrego jedzenia, na które zawsze czekam.

Wadowice wszystkim Polakom kojarzą się oczywiście z Janem Pawłem II. Podobno za młodu chciałeś zostać papieżem. Każdy chłopiec w tym mieście tak ma?

Myślę, że kapłańskie plany ma na wczesnym etapie życia wielu chłopców. I ja również je miałem, ale dość szybko porzuciłem. Nie wiem, jak jest w innych miastach, bo nie mam takiego doświadczenia. Mnie dzieciństwo w Wadowicach kojarzy się z kolegami i koleżankami, których wtedy poznałem, i którzy byli moimi towarzyszami mojego dojrzewania i edukacji. To głównie ich twarze wracają, kiedy słyszę słowo „Wadowice”.

Byłeś za młodu nieśmiałym dzieckiem, bo miałeś wadę wymowy. Szkolny teatr pomógł Ci pokonać ten problem?

Absolutnie tak. Kiedy byłem w piątej klasie podstawówki, moja wychowawczyni, pani Joanna Bartkowiak, założyła kółko teatralne i zaprosiła mnie do niego. Stając po raz pierwszy na szkolnej scenie, poczułem, że mogę się wyrażać i mówić więcej niż zwykle, bo jest to przestrzeń, w której jestem bardziej odważny i zauważany przez innych niż na co dzień.

W liceum wygrałeś Ogólnopolski Konkurs Recytatorski. Ten sukces dodał Ci skrzydeł?

To była dłuższa droga. Od czasu tego kółka teatralnego w piątej klasie podstawówki, kiedy zakochałem się w występach na scenie, była Grupa Teatralna Teza w Spółdzielni Mieszkaniowej w Wadowicach i Teatr Ruchu Forma w Centrum Kultury i Wypoczynku w Andrychowie. Pomógł mi też świetnie funkcjonujący w czasach mojej młodości Miejski Dom Kultury. Ważnym wspomnieniem

Zdobył ogromną popularność jako ksiądz Jakub w komediowym serialu „1670”. Sprawdził się jednak również w dramacie „Sonata”, za który otrzymał nagrodę na festiwalu w Gdyni. Nam Michał Sikorski opowiada, jak ukształtowało go dorastanie w rodzinnych Wadowicach

Paweł Gzyl



Michał Sikorski: Kręciliśmy pierwszy sezon „1670” w poczuciu, że robimy coś wyjątkowego

MICHAŁ SIKORSKI: ŻYCIE SKŁADA SIĘ Z MAŁYCH RZECZY I TRZEBA JE DOCENIAĆ

na tej drodze były dla mnie również liczne konkursy recytatorskie i aktorskie. Wszystkie te moje wystąpienia publiczne były jednak zawsze związane z teatrem.

Do historii Teatru Ruchu Forma przeszło Twoje pojawienie się na jego scenie w dziurawych skarpetkach. To był zamierzony chwyt? (Śmiech) Nie. Bardzo mnie bawi, że takie wspomnienia, związane z brakami w mojej garderobie, pozostały w pamięci do dzisiaj.

Co Cię w tak młodym wieku pociągało w aktorstwie?

Miałem wtedy wyzwalające poczucie, że występując na scenie, nie trzeba brać odpowiedzialności za to, co się mówi. (Śmiech) Że można być zupełnie innym człowiekiem i wcielić się w czyjąś rolę. A po zejściu ze sceny nie trzeba tego kontynuować, tylko można to porzucić i znowu być sobą. Dla nieśmiałej osoby, którą wtedy byłem, liczyło się także to, że na scenie nagle staję się kimś, kto jest w centrum uwagi, i wzбудzam

swoim wystąpieniem śmiech lub wzruszenie. To były dla mnie w tamtym momencie wyjątkowo ważne doświadczenia.

Jak rówieśnicy odnosili się do Twojej teatralnej pasji?

Bardzo różnie, ale u większości wzbudzało to respekt i szacunek. Wydaje mi się, że na każdym etapie życia ludzie z pasją są ciepło postrzegani.

Aktorskie i recytatorskie sukcesy pomagały Ci w nastoletnich podbojach miłosnych?

(Śmiech) Faktycznie znałem na pamięć kilka wierszy, które robiły na dziewczynach wrażenie.

Z tego, co wiem, nie zapraszałeś rodziców na szkolne przedstawienia. To znaczy, że nie rozumieli Twojej aktorskiej pasji?

Nie. Bardzo bałem się krytyki i nie byłem na nią wtedy gotowy od tak ważnych osób, jakimi byli i są dla mnie rodzice. Musiałem dopiero do tego dojść, aby móc się dzielić z nimi tym, co tworzę.

Kiedyś powiedziałeś jednak, że w Twoim domu było zrozumienie dla kina czy telewizji, ale nie dla teatru. Z czego to wynikało?

Przed wszystkim z nieznośności tego świata i środowiska. A wiadomo, że wszystko, co nieznane, wzbudza lęk i niepewność. Dlatego w momencie, kiedy wybrałem aktorstwo jako swoją drogę życiową, rodzice nie wiedzieli, jak sobie wyobrazić przyszłość kogoś takiego, kto się zajmuje zawodowo teatrem. Siłą rzeczy wzbudzało to w nich bardzo dużo wątpliwości.

Dzisiaj rodzice są już spokojni?

(Śmiech) Myślę, że tak. Jestem szczęśliwym człowiekiem, mam co włożyć do garnka. Udowodniłem więc, że miałem rację i potrafię o siebie zadbać.

Aktorstwo było też dla Ciebie sposobem na wyrwanie się z Wadowic w wielki świat?

Mieszkam teraz na warszawskim Wrzecionie. Czy to jest ten wielki świat? Nie wiem. (Śmiech) Ale faktycznie, towarzyszyła mi w młodości taka potrzeba wyjechania z Wadowic i odkrycia czegoś więcej. Rozbudziło to we mnie doświadczenie uprawiania teatru. W tamtym czasie domy kultury i szkolne kółka teatralne w moim rodzinnym mieście działały wręcz wzorowo. Taką właśnie rolę powinna spełniać kultura w mniejszych ośrodkach miejskich - rozbudzać u młodych ludzi apetyt na więcej.

W zeszłym roku pojawiłeś się w Wadowicach na wyjątkowym spacerze, który był nagrodą w licytacji na WOŚP. Jak się udała ta przechadzka?

Wspaniale. Zawsze wracam do Wadowic z dużym sentymentem. Wtedy czułem jednak wielką presję, mając świadomość, że ktoś zapłacił 35 tys. zł, aby się przespacerować po tym mieście w moim towarzystwie. Zwyczajna licytacji przyjechał aż z Trójmiasta i po wszystkim mówił, że było warto. Mogę więc teraz reklamować spacer po Wadowicach, bo wiem, że ludzie są w stanie zapłacić za nie naprawdę duże pieniądze. (Śmiech) Jeśli ktoś ma blisko, to naprawdę warto się na taką wycieczkę wybrać. I to za darmo.

Pod warunkiem że Ty będziesz przewodnikiem...

Jeśli tylko będę miał czas, to chętnie się pojawię.

No właśnie: w tym roku też szykujesz podobną licytację na WOŚP. Co to będzie?

W tym roku znowu przyjąłem zaproszenie od wadowickiego sztabu WOŚP. Niebawem

ogłosimy tę licytację. Będzie to coś związanego z Wadowcami, ze mną i z Fiatem 126p. (śmiejch)

Po maturze trafiłeś do Krakowa za sprawą studiów w tu-tejszej Akademii Teatralnej. Jak się odnalazłeś pod Wawelem?

W czasach liceum dużo wagarowałem w Krakowie, było więc to bliskie mi miasto. (śmiejch) Do tego dzięki otwar-tości mojego polonisty z I liceum w Wadowicach, pana Henryka Odrozka, co miesiąc wyjeżdżaliśmy na spektakle teatralne, głównie do Krakowa. Często były to przedsta-wienia dyplomowe studen-tów tamtejszej uczelni teatralnej. Dlatego już jako licealista marzyłem, aby w tych murach kiedyś się uczyć i też robić takie spektakle. Kiedy zdałem egzaminy i dostałem się za-równo na wydział aktorski do łódzkiej filmówki, jak i do Akademii Teatralnej w Krakowie, nie miałem żad-nych wątpliwości i poszedłem podpisać papiery do tej dru-giej uczelni, bo przez licealne wizyty była mi ona bardzo bliska.

Nie sposób nie dopytać: co po-rabiałeś nie tych wagarach w Krakowie?

Włóczyłem się po mieście, spacerowałem po jego uli-cach, ale chodziłem też do kina, do teatru czy na wy-stawy.

Akademia Teatralna to wła-ściwie codziennie zajęcia od rana do wieczora. Odpo-wiadał Ci taki intensywny tryb nauki?

Tak. Kiedy trafiłem do Akade-mii Teatralnej, niektórzy pytali mnie: „To są studia dzienne, wieczorowe czy za-oczne?”. A ja wtedy mówiłem: „Dzienne i wieczorowe na-raz”. Bo rzeczywiście mieliśmy mnóstwo zajęć. Zaczyna-liśmy o 7.30 rano rytmiką, a kończyliśmy późnym wie-czorem, przed 23, próbami in-dywidualnymi, na których przygotowywaliśmy się na za-jęcia z prozy lub wiersza na następny dzień. Dlatego były to bardzo intensywne cztery lata.

Nie miałeś czasu na impre-zowanie?

Proszę sobie wyobrazić trud tych studiów, kiedy trzeba było mieć czas na imprezowa-nie między 23 w nocy a 7.30 rano. (śmiejch)

Niekiedy w czasie studiów po-jawia się kryzys i wątplenie, czy obrało się właściwą drogę życiową. Doświadczyłeś takich rozterek?

Myślę, że pozostawałem od początku bardzo wierny swoim marzeniom. Ja byłem od początku bardzo zdetermi-nowany, jeszcze jako student

zacząłem pracować w zawo-dzie i robię to nieprzerwanie do dzisiaj. Nie spotkał mnie nigdy żaden duży przestój, nie zaliczyłem więc jakiegoś większego rozczarowania. Może wszystko przede mną? Bo kryzysy w tym zawodzie często się zdarzają. Raz jest lepiej, raz gorzej, to taka sinu-soida.

Krakowska Akademia Te-atralna dobrze przygotowała Cię do pracy w zawodzie aktora?

Na pewno był to najlepszy wy-bór z możliwych i wtedy, kiedy studiowałem, najlepsza szkoła aktorska w Polsce. Przychodząc do akademii, byłem świadomy czego mogę się spodziewać, i nie rozczarowałem się. Szkoła spełniła moje oczekiwania, po-zwoliła mi się rozwijać. Spotka-łem tam osoby, które miały ważny wpływ na mój aktorski kunszt oraz kolegów i kole-żanki, którzy tworzą dziś wspa-niałe rzeczy.

Nie chciałeś zostać po studiach w którymś z krakowskich te-atrów?

Pewnie gdybym szybko dostał taką propozycję, to bym z niej skorzystał jako osoba zako-chana w Krakowie. Ale na czwartym roku przyjechał do szkoły dyrektor Teatru Pol-skiego w Poznaniu pan Maciej Nowak i od razu zaprosił mnie do zrobienia spektaklu oraz na etat do swego zespołu. Wtedy działał się tam bardzo ciekawe rzeczy, to był teatr, na który patrzyła cała Polska, zaliczyłem więc w nim cztery wspaniałe sezony.

Zaraz po studiach zacząłeś grać w teatrze i w filmach. Od po-czątku chciałeś dwutorowo prowadzić swoją karierę?

Na pewno tak. Cały czas wal-czyłem, aby mieć równowagę i rozwijać się na wielu polach. Dziś moja droga zawodowa jest głównie filmowa, mam obecnie przerwę od teatru i nie jestem już nigdzie na etacie. Stało się tak głównie przez moje zajęto-sci kinowe i serialowe. Bardzo chętnie jednak wracam grać w swoich dawnych spektaklach w Teatrze Polskim w Poznaniu.

Nie brakuje Ci teatru instytu-cjonalnego na co dzień?

Trochę brakuje. Nie będę ukry-wał, że nie tęsknię za taką pracą. Ciągłe jednak od czasu do czasu mogę być na scenie. Za niedługo chociażby wracam do Poznania grać „Cudzo-ziemkę”. To spektakl ukochany przez tamtejszą publiczność. Odliczam więc dni do wyjazdu.

Ale na etat nie chcesz nigdzie wrócić?

Na razie nie planuję.

Usłyszeliśmy o Tobie dzięki „Sonacie”. Rola osoby niepeł-nosprawnej była dla ciebie dużym wyzwaniem?

Bardzo. Niepełnosprawność to jednak tylko jedna z cech Grześka Płonki. Poznałem go osobiście, więc wiem, że ma charakter fightera. Musiał się w życiu zmierzyć z ogromnymi przeciwnościami. Z wieloma wygrał, z wielu bitew wyszedł zwycięsko. Jego historia była więc dla mnie bardzo inspiru-jąca - zarówno jako dla aktora, ale też jako dla człowieka. Cie-szę się, że udało mi się w „Sona-cie” tego jego niezłomnego du-cha pokazać, to, że jest praw-dziwym żywym srebrem. Zresztą, kiedy Grzesiek obejrzał ten film, powiedział mi: „To je-stem ja” i to była dla mnie naj-wspanialsza recenzja. Wszyst-kie trudy, jakie poniosłem, aby tę rolę zagrać - jak naukę gry na fortepianie czy zrzucenie kilku kilogramów - to przysło-wiowy pikuś w porównaniu z efektem, jaki udało mi się osiągnąć.

Dostałeś za występ w „Sona-cie” nagrodę za debiut na festi-walu w Gdyni. Utwierdziła Cię ona, że wybrałeś właściwą drogę życiową?

Myślę, że tak. Ale nagroda ta wcale nie przełożyła się na pro-pozycje nowych ról. Cieszę się jednak, że mogłem zagrać w tym filmie, bo chyba każdy aktor marzy, aby przeżyć takie chwile, jak ja, kiedy promowali-śmy „Sonacie” na festiwalu w Gdyni. Mieliliśmy wspaniały odbiór - byliśmy więc szczę-śliwi, że możemy się takim dziełem podzielić ze światem.

Prawdziwe szaleństwo na Twoim punkcie wybuchło, kiedy zagrałeś księdza Jakuba w „1670”. A to w sumie najbar-dziej negatywna postać w tym serialu. Na czym polega jej po-pularność?

Ojciec Jakub skupia w sobie wszystkie cechy, których niena-widzimy w ludziach, ale robi to z niezwykłym urokiem, dzie-cięcą wręcz naiwnością i pew-nym ograniczeniem intelektu-alnym, dzięki czemu lubimy go i współczujemy mu. Cieszę się więc, że to, jak tchnąłem ducha w tę postać, jest odbierane tak pozytywnie. Na tym bowiem polega moja praca - na ożywie-niu danej postaci.

Ile jest Twojej inwencji w wy-kreowaniu księdza Jakuba?

Dużo, choć oczywiście działa-łem z reżyserami w ramach sce-nariusza, który był bardzo do-brze i precyzyjnie stworzony. Kiedy go przeczytałem, pomy-slałem, że przede wszystkim nie wolno mi zepsuć tego, co Kuba Rużyłło tak fantastycznie napisał. Wszystko to, co jest w tej postaci poza słowami, to właśnie moja praca.

Jak mogliście grać na planie tego serialu i nie pokładać się ciągle ze śmiechu?

Nie zawsze się nam to udawało. A przecież czas pracy na planie jest ograniczony, choćby przez

MAM AMBICJĘ ROBIĆ RÓŻNE RZECZY I WIERZE, ŻE BĘDZIE MI DANE GRAĆ NIE TYLKO W KOMEDIACH. ALE ABSOLUTNIE NIE SKREŚLAM TEGO GATUNKU

okres ekspozycji słońca. Trzeba się więc było czasem bardzo skupić, aby przed jego zacho-dem nakręcić scenę. Większość z nich była bardzo zabawna, a do tego koledzy, z którymi grałem, byli bardzo weseli, więc musiałem niejednokrotnie wy-korzystać wszystko, czego się w życiu nauczyłem, aby się nie rozpraszać i zagrać jak trzeba.

Masz ulubioną scenę z serialu, w której najlepiej udało Ci się uchwycić osobowość księdza Jakuba?

Nie ukrywam, że moim ulubio-nym odcinkiem jest ten o eg-zorcyzmach. Bardzo lubię scenę, kiedy płyniemy na łódce z Bogdanem, czyli Do-bromirem Dymeckim, bo jest ona jedną z najbardziej absur-dalnych, jakie przyszło mi za-grać w całej mojej karierze. Musiałem się wtedy naprawdę mocno spaść, żeby nie śmiać się i zagrać to całkiem na po-ważnie.

Ksiądz Jakub to oczywiście współczesny ksiądz w krzy-wym zwierciadle. Jak Twój wy-stęp odebrano w Wadowicach?

Jak najbardziej serdecznie i po-zytywnie. Spotkałem się tylko z ciepłymi opiniami. Wydaje mi się, że obraz ojca Jakuba nie jest obrazem współczesnych księży. To właśnie ten dystans historyczny sprawia, że mo-żemy spojrzeć na tę postać tro-che szerzej. Bo przecież ten sam typ osoby znamy z pracy w korporacji czy w redakcji. No i w Kościele oczywiście też. Kil-krotnie podchodzili do mnie różni księża i wszyscy, z któ-rymi rozmawiałem, byli fa-nami „1670” i rozumieli ironię w ukazaniu tego bohatera.

Jak sobie radzisz z popularno-ścią, którą przyniósł Ci ten se-rial?

Kręciliśmy pierwszy sezon „1670” w poczuciu, że robimy coś wyjątkowego. Sprawiało nam to dużą radość i dawało ogrom satysfakcji. Ale sukcesu i popularności na taką skalę chyba nikt się nie spodziewał. To nas wszystkich zaskoczyło. Ten odbiór był jednak bardzo pozytywny, dlatego staram się to wszystko zapisywać w sercu, bo takie sytuacje zda-rzają się w życiu aktora bardzo rzadko. Cieszę się, że mogłem w tej przygodzie zwanej „1670” wziąć udział i daliśmy tak wielu osobom w Polsce tak wiele radości.

Ostatnio oglądaliśmy Cię w fil-mie „Życie dla początkują-

cych”, który jest pierwszą w Polsce komedią o wampi-rach, do tego zrealizowaną przez debiutanta. Lubisz takie projekty?

Bardzo. W przyszłym roku wchodzę na plan filmu, który jest moim szóstym występem u reżysera debiutanta. Praca z Pawłem Podolskim przy „Ży-ciu dla początkujących” była bardzo inspirująca. Kiedy przeczytałem scenariusz, od razu zgodziłem się zagrać w tym filmie. Bardzo dużym odkryciem aktorskim byli dla mnie moi partnerzy - Magda Maścianica, grająca wampir-rycę Monię, i Bartłomiej Kotschedoff, grający wampira Mirka. Żałuję tylko, że w filmie o wampirach ja akurat nie mia-łem okazji zagrać wampira. Ale współpraca z Magdą i Bart-kiem na pewno zostanie mi po tym filmie. Tutaj też wielo-krotnie bywało, że przed na-kręceniem sceny musieliśmy się wszyscy porządnie wy-śmiać. Mam nadzieję, że nie-bawem „Życie” trafi na jakąś platformę streamingową, żeby jak najwięcej ludzi mogło tę ciepłą komedię zobaczyć.

Niby to komedia, ale porusza poważny temat - strach przed śmiercią. Ty powiedziałeś w jednym z wywiadów, że film ten ma terapeutyczny wymiar, bo „po jego obejrze-niu ma się poczucie, że życie jest fajne”.

Wydaje mi się, że wielu wi-dzów tego filmu ma podobne poczucie, jak jego bohaterowie - że życie przecieka im przez palce. Właściwie to nie wia-domo, jak z niego korzystać. A ten film pokazuje, że życie składa się z małych rzeczy i trzeba je docenić dlatego, że jest skończone i krótkie. Na tym polega jego ulotność i piękno. Należy się więc cie-szyć z tego, co jest.

Potrafisz tak?

Jasne. Kiedy mieszkałem w Wadowicach, byłem na tyle świadomy, żeby doceniać, jak piękna jest Czuma w drodze do Choczni czy ogniska nad Skawą oraz kilka innych miejsc i wydarzeń, które przy-darzają się nam w młodości, a potem pamięta się je przez lata i ma się poczucie, że „ale było fajnie”.

Niezwykły sukces „1670” sprawił, że jesteś postrzegany jako aktor komediowy. Nie przeszkadza Ci to?

Mam ambicję robić różne rze-czy i wierzę, że będzie mi dane

grać nie tylko w komediach. Ale absolutnie nie skreślam tego gatunku, bo, po pierw-sze, daje mi wiele radości i sa-tysfakcji, a po drugie, jest za-wsze sporym wyzwaniem aktorskim. Zagranie komedii nie jest bowiem łatwe, trzeba mieć dobre wycucie rytmu, ciągle kontrolować to, co się dzieje, aby nie przesadzić, zgrabnie poprowadzić historię i nie gubić jej, aby żart mógł lekko przechodzić. Lubię tę trudną formę, ale mam na-dzieję, że życie i zawód posta-wią przede mną jeszcze inne wyzwania.

No właśnie: masz w swoim do-robku prowadzenie dwóch dużych imprez: festiwalu w Gdyni i festiwalu w Opolu. Jak Ci się to podobało?

Ja lubię wyzwania. To były wydarzenia na żywo, mogło się wszystko wydarzyć, musia-łem więc mieć pełną kontrolę nad tym, co się działo. Zwraca-łem się do widzów na wi-downi, ale też przed telewizo-rami w ich domach. To była ogromna adrenalina, od której chyba jestem uzależniony. Mam więc nadzieję, że w przy-szości będą mi się przydarzać podobne wyzwania.

Podobno marzy Ci się własne talk-show. Zastąpiłbyś chętnie Kubę Wojewódzkiego?

Jego akurat nie. Ale pomysł na mój własny program jest czymś, co gdzieś tam się tli i or-bituje wokół mnie. Czy to się kiedyś wydarzy? Na razie nie wiem. Jestem ostrożny i nie chcę się w coś takiego za szybko wpakować. Kusi mnie taki projekt, ale obecnie to kwestia marzeń i dalszej przyszłości.

Nie jest tajemnicą, że zostałeś ojcem, mając 25 lat. To dość wcześniej jak na dzisiejsze standardy. Niczego Ci to nie zabrało?

Nie. Wśród moich znajomych nie byłem pierwszą osobą, która została rodzicem. Wielu z nich dorobiło się dzieci w po-dobnym wieku. Wydaje mi się, że nie ma to związku z moją pracą i nie straciłem przez ojcostwo jakichkolwiek propozycji. Kiedy zostałem tatą, pracowałem akurat bar-dzo intensywnie na planie „Sonaty”. Rola rodzica przy-nosi mi wiele satysfakcji i chyba jest najfajniejszą w moim życiu.

Dzisiaj też zabierasz synka ze sobą na plan?

Nie. Jak długo będę mógł chronić syna od mojej pracy, to będę to robił. Plan filmowy to nie miejsce dla dziecka. Chcę, żeby dla Jeremiego waż-niejsze było jego własne dzie-ciństwo niż moja praca.

Chciałbyś, aby poszedł kiedyś w Twoje ślady?

Nie mam takich ambicji.

Czy emocje, jakie towarzyszyły kilkanaście lat temu panu polskiemu debiutowi, „Sali samobójców”, są porównywalne do tych, jakie towarzyszą panu amerykańskiemu debiutowi, filmowi „Rocznica”?

Są różne. W przypadku „Sali samobójców” byłem kompletnie pozbawiony skorupy, jaką daje obycie i robienie filmów. To był mój pierwszy film. Szalenie mnie dotknął, bardzo mocno oddziaływała na mnie reakcja publiczności. Nie umiałem tego przefiltrować. To było emocjonalne zderzenie ze sobą dwóch pociągów. Dzisiaj jest pod tym względem lepiej. Mam więcej doświadczenia i wiem, po co robię pewne rzeczy. Tak. „Rocznica” jest moim anglojęzycznym debiutem i tak jest ten film traktowany w świecie. Jest to rodzaj innej kategorii kina. Ostatnio widziałem kompilację filmów reżyserów nieanglojęzycznych, w której znalazł się też fragment „Rocznicy”. Były to fragmenty raczej udanych filmów, co było dla mnie miłe. „Anniversary” [ang. tytuł „Rocznicy”] jest w stu procentach próbą hollywoodzką. Wjechałem prosto polską ciężarówką do hollywoodzkiego studia. Nie było żadnego brania jeńców, tylko zderzenie estetyki hollywoodzkiej z moją polską. Wychowałem się na filmach hollywoodzkich, dlatego łatwiej mi się rozmawiało z Amerykanami. Język, który próbowałem w „Sali samobójców” i w wielu reklamach, teledyskach, jest w Stanach zupełnie zrozumiały. Nie byłem dla nich zbyt arthouse’owy czy też zbyt europejski i enigmatyczny, gdyż mam rockandrollową wrażliwość. To ona ich zaciekała.

Najpierw napisał pan nowelę filmową „Rocznica”. Czy powstała z myślą o zagranicznym producencie, czy jednak polskim?

Gdy myślę o polskich filmach, zaczynam prowokować swój umysł, by myśleć o nich jak o amerykańskich. Czy film „Dług” Krzysztofa Krauzego mógłby być amerykańskim filmem? Tak. Dlaczego go nie zrobić dzisiaj na nowo? Czy „Wieża. Jasny dzień” Jagody Szela, fantastyczny intymny horror może być amerykański? Może być. Film Macieja Pieprzycy „Jestem mordercą” też mógłby mieć wersję amerykańską. Otworzyło mi się w głowie, że nasze, dobrze przefiltrowane koncepty można połączyć z estetyką hollywoodzką, przełożyć na język angielski. Jestem podekscytowany takim myśleniem. Ciągłe siedzę w kulturze anglojęzycznej, przynajmniej od „Sali samobójców”. Ciągłe szukam sposobu przetłumaczenia naszej polskiej

WJECHAŁEM POLSKĄ CIĘŻARÓWKĄ DO HOLLYWOODZKIEGO STUDIA

– Opowiadam o buncie przeciw establishmentowi na zasadzie wywrócenia stolika – mówi Jan Komasa o pierwszym swoim amerykańskim filmie „Rocznica”

Piotr Samolewicz

i środkowoeuropejskiej wrażliwości na inne kraje...

Nie rezygnując z niej?

W ogóle. Wręcz przeciwnie, bo nie byłoby to sexy. Nie nie się się drewna do lasu, tylko trzeba wnieść polskie pierogi. Jednocześnie powiedzieć coś ciekawego o amerykańskości, to, czego oni sami nie widzą. Wziąłem moje/nasze doświadczenie wywiedzione z kina z PRL. W naszym DNA płyną sceny z Adamem Ferenzym i Januszem Gajosem, przesłuchujących Krystynę Jandę w „Przesłuchaniu” i zrobiłem w „Anniversary” podobną scenę. Najpierw jest miło, przesłuchujący chcą się zaprzyjaźnić z małżeństwem Ellen i Paula, jest gadanie o kawie, a potem przestaje być miło, bo na stole pojawiają się dokumenty o współpracy do podpisania. Chciałem zobaczyć też faszyzm z dziwną flagą, niby amerykańską, a wcale nie amerykańską.

Jak współpracowało się panu z amerykańską ekipą?

Początkowo chcieliśmy kręcić w Waszyngtonie, bo akcja „Rocznicy” dzieje się w tym mieście, ale Stany są drogie, a my nie mieliśmy takiego budżetu. Potem zrobiliśmy budżet na Kanadę, ale cały czas był ponad nasze możliwości, bo mieliśmy 11 mln dol. Wtedy padła rewolucyjna propozycja: co by się stało, gdybyśmy nakręcili w UE. Stało się na Dublinie, bo jedynym państwem anglojęzycznym w UE jest Irlandia, gdzie Hollywood kręci non stop, korzystając z unijnych upustów. W Irlandii Polacy są drugą narodowością, więc z Irlandczykami miałem najlepiej na świecie. Dogadywałem się z nimi także pod względem Guinnessa, którego po raz pierwszy piłem w Dublinie.



Jan Komasa ma w dorobku m.in. filmy: „Miasto ‘44”, „Sala samobójców”, „Boże Ciało”, „Sala samobójców. Hejter”

Natomiast z Amerykanami cały czas współpracuję, bo promujemy film. Amerykanie działają na bazie czegoś, co bym nazwał „momentum”. Momentum jest dla nich religią. Jest jak gotowość. Trzeba być cały czas gotowym na cokolwiek, co może się wydarzyć w twoim życiu. Nie mo-

żesz spokojnie umówić się na jakiś projekt, jak w Europie, tylko chodzić za nim, rozmawiać i wierzyć, że powstanie. Jeśli projekt będzie realizowany, tzn. że miałeś rację, a jeżeli nie, tzn. że jej nie miałeś. Nie wolno być sfrustrowanym, trzeba fake it till you make it, czyli udawać tak

TRZEBA BYĆ CAŁY CZAS GOTOWYM. BO NIE WIADOMO, KIEDY TEN POCIĄG PRZYJEDZIE. A GDY PRZYJEDZIE, TO ZATRZYMA SIĘ NA KRÓTKO

Głos Dziennik Pomorza
Piątek, 9.01.2026

długo, aż coś się stanie. I na tym polegają Stany.

Cały Hollywood rządzi się tą zasadą momentum?

Tak. Nauczyła mnie ona tego, że trzeba być cały czas gotowym. Bo nie wiadomo, kiedy ten pociąg przyjedzie. A gdy przyjedzie, to zatrzyma się na krótko. Trzeba być gotowym na ten moment. Wskakujesz do pociągu, fantastycznie, mówiłem, że się tak wydarzy. Kiedy już jedziesz, nie masz ani chwili odpoczynku. Tak też się stało z „Anniversary”. Tak długo jeździłem od premiery „Sali samobójców” do Stanów, aż się okazało, że jesteśmy z „Bożym Ciałem” [trzeci film fabularny w dorobku reżysera - ps] na short liście do Oscarów, potem dostaliśmy nominację. I wtedy oberżałem się za ramię i zobaczyłem, że złoty pociąg stoi na stacji. Stał tylko 3 minuty. Producenci rozdzwonili się do mnie z pytaniem, co mam? Miałem jeden z wielu projektów o nazwie „Rocznica”. Opowiadał on o rodzinie, która co roku spotyka się w jednym miejscu dla uczczenia różnych rocznic, a w tym czasie zaczyna zmieniać się system polityczny, tak jak w latach 30. w Niemczech przed nocą kryształową. Pomysł spodobał się. Kupili go ode mnie w 2019 roku. Parę miesięcy później pracowałem nad nim ze scenarzystką wyłonioną w castingu, Lorie Rosene-Gambino. W czerwcu 2020 roku mieliśmy gotowy tekst. Jeszcze na fali popularności „Bożego Ciała” podtrzymanej przez sukces „Hejtera”, który jako pierwszy polski film wygrał Tribeca Film Festival, scenariusz „Rocznicy” trafił na biurko Diane Lane i stał się pierwszym jej producenckim projektem. Gdy zgodziła się na ten film, zgodzili się też inni, w tym znani aktorzy.

Czy „Rocznica” jest filmem politycznym, czy filozoficznym, alegorycznym?

Jest to film pseudopolityczny. Tworzymy w nim swoją własną rzeczywistość, dlatego nazywamy go dystopią. Ona jest prawie jak nasza, ale nie do końca, bo przesunięta. Tworzymy korytarz dla widza między dzisiejszą rzeczywistością a rzeczywistością na ekranie. Tworzymy fragment wolności dla wyobraźni widza, by wypełnił ten korytarz sobą, swoimi strachami, lękami. Tak jest pomyślana każda dystopia. W „1984” Orwella widzimy ten sam zabieg. Każda opcja polityczna, zarówno lewicowa, jak i prawicowa, może traktować „1984” Orwella jako fantastyczną książkę o tym, jak nasi oponenci mogą doprowadzić nasz kraj

do upadku. Dlatego że dystopia pokazuje zmyśloną rzeczywistość, ale mając pewne cechy prawdopodobieństwa. Tak też jest pomyślany mój film, by spowodować efekt zwany incredible valley (niesamowitą doliną), kiedy odczuwamy niepokój, że prawie coś znamy, ale nie do końca. Można to przyrównać do spotkania człowieka, który niby jest podobny do nas, ale ponieważ ma troje oczu, to nas przeraża. W moim filmie pokazujemy niby flagę Stanów Zjednoczonych, ale jest ona nieco inna, niż powinna być. Z tego powodu nasz mózg się buntuje i próbuje znaleźć rozwiązanie, dlaczego tak się dzieje.

I znów pokazuje pan młodych bohaterów, którzy działają radykalnie, ostro. Z czego czerpie pan ten motyw: z własnego życia, literatury, kultury?

Opowiadam o buncie przeciw establishmentowi na zasadzie wywrócenia stolika, a to wywrócenie odbywa się z wykorzystaniem najbliższych osób. Polacy wiedzą, czym są zmiany polityczne, bo przez ostatnie 120 lat mieliśmy wiele różnych zmian, a każda sobie przeczyła, jak kapitalizm zaprzecza komunizmowi. Moi dziadkowie, moi rodzice przeżywali co 20-30 lat totalną zmianę, zastanawiali się, po co uczyć się jednego systemu, skoro zaraz przyjdzie następny. I to w Polakach wytworzyło tolerancję na zmiany. W „Rocznicy” zmiana jest przez duże „Z” i oznacza jakąkolwiek zmianę. Zmiany mają to do siebie, że korzystają na nich sfrustrowani i skrzywdzeni, ci, którym nie wyszło w poprzednim systemie. Kto podejmuje pomysł wywrócenia stolika? Ci, którzy nie dostali się w piątek na urodziny kogoś ważnego, bo nie zostali na nie zaproszeni. Ci odrzuceni teraz wracają i tak ustawiają rzeczywistość, że nie będą nikogo wpuszczać na urodziny. Chcą poczuć się tak jak ci, których nienawidzą za to, że nie zostali przez nich kiedyś dopuszczeni.

Czy polski kontekst jest ważny?

Bardzo ważny. Recenzenci amerykańscy podkreślają, że o tym filmie można różnie myśleć, ale trzeba dać kredyt zaufania reżyserowi z Polski, który jeśli nie przeżył tego na własnej skórze, to na pewno przeżył to jego rodzice. Ma to w DNA. Jeśli ktoś coś ma do powiedzenia o autorytaryzmach, to właśnie on. W wielu amerykańskich recenzjach pojawia się mój biogram, który legitymizuje ten film. Amerykanie oglądają Stany Zjednoczone odbite w polskim lustrze.